Nr. 4. Poznań, Niedziela 22go Kwietnia 1894 r. Rok I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya:
Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. »**.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

POLITYKA.

Z teatru wojny.

Na kujawskich łanach zawrzał bój gorący Echa bojowe rozpływają się coraz dalej, elektryzują społeczeństwo i już nie same Kujawy, lecz cały zabór pruski w wir tych zapasów wojennych wciągają. Rozgrywa się tu jeden z owych dramatów. które przed niedawnym czasem przesunęły się przed nami na arenie stolicy wielkopolskiej i rozlicznych innych miasteczek, ale starcie tu poważniejsze. kolizya donioślejsza w skutkach i dla tego uwaga społeczeństwa tak naprężona, współudział w walce tak znaczny. W okręgu inowrocławsko-mogilnicko-strzelińskim występuje strownictwo ludowe po raz pierwszy jako potęga, wyprowadzająca w bój swoje pułki z niezłomną i uzasadnioną nadzieją zwycięstwa. Wszystkie dotychczasowe występy stronnictwa tego miały raczej agitacyjne i zasadnicze znaczenie, nigdzie nie przyświecały mu tak wielkie szanse powodzenia, nigdzie żywioły włościańskie nie dostarczyły demokracyi miejskiej tak licznego i energicznego poparcia. W boju inowrocławskim nie można upatrywać politycznego „balon d'essai“, bo tu już nie chodzi wyłącznie o policzenie sił ludowych, o akcyę beznadziejną na dziś, a szukającą tylko nadziei na przyszłość, o zaprotokółowanie wyraźnego choć bezsilnego protestu, o wypróbowanie wreszcie i podniesienie opozycyjnego zapału, — tu przeciwnie chodzi o pierwsze walne zwycięstwo stronnictwa ludowego, o pierwszą dotkliwszą porażkę dotychczasowych kierowników życia publicznego. Opozycya zapisała wprawdzie na kartach dziejów swoich już kilka drobnych tryumfów, ale nigdzie kontrasty nie były tak radykalne, tak wielkie masy poruszone, a efekt zwycięstwa tak kuszący i doniosły.

Wre zatem walka dzika i namiętna, — z jednej strony młodzieńcza krewkość, fanatyczna wiara świeżej emancypacyi, ruchliwość wyzwoleńców czerpiących z krynicy własnych sił, swobody i samoistności, z drugiej przestrach febryczny i konwulsyjne wysiłki, aby ocalić tradycyą uświęcony przywilej? Wobec tego dziwić się nie można, że zebranie inowrocławskie było jak morze burzą spienione, bo z tą samą chwilą, w której poza wspólnym ideałem narodowem zrodziły się w masach szerokich społeczne i polityczne różnice, z tą samą chwilą w której rosnąca oświata spotęgowała pretensye długoletnich kopciuszków, z tą samą chwilą wreszcie, w której prasa obustronna dolewać poczęła oliwy do ognią, ulotnić się musiała dawna potulność i pokora owieczek wyborczych. W takich warunkach postulat harmonii i zgody stał się pustym jedynie frazesem i nie przedstawia innej wartości krom łacińskiego „pium desiderium“, a tam, gdzie dwa tak wrogie żywioły do wspólnych zasiadają obrad tylko zręczność dyplomatyczna, objektywizm i zupełna bezstronność prezydyalnych kierowników może uchronić przed rozbiciem zebrania. Świeże wypadki życia politycznego w stolicy wielkopolskiej wykazały jasno, że stronnicze manewra lub niezręczność przewodniczących najsmutniejsze wydawały owoce, a walne zebrania tam tylko pomyślny uwieńczył skutek, gdzie prezes unikał wszystkiego, co w podejrzenie podawało bezstronność jego. Niestety, zapomniano w Inowrocławiu wyciągnąć praktycznej nauki z dziejów najbliższej przeszłości, a winę rozbicia zapisać wypada poniekąd na rachunek prezesa komitetu, lub tych, którzy podyktowali mu podstępną operacyę z kandydaturą ks. Wawrzyniaka. Kandydatura ta wyjść mogła jedynie z łona walnego zebrania, bo prezes komitetu jest tylko wyrazem większości komitetowej i po za demarkacyjną linią tego obowiązku wychodzić mu nie wolno. Z tą sama chwilą, w której p. Łyskowski, odczytawszy listę ułożoną przez komitet inowrocławski, oświadczył, że zgłosił się jeszcze czwarty kandydat w osobie ks. Wawrzyniaka, upadły wszelkie pozory bezstronności i już nie człowiek stojący ponad stronnictwami przedstawił sie wyborcom, lecz obywatel, który urząd przewodniczącego wyzyskuje na korzyść własnego stronnictwa. Gdyby p. Łyskowski był złożył urząd prezesa, gdyby był oddał dzwonek jednemu z kolegów swoich, a sam stanąwszy wśród zebranych tłumów zgłosił w charakterze prostego wyborcy kandydaturę ks. Wawrzyniaka i to nie kandydaturę luzem idącą, lecz listę całą jak statut nakazuje, wtedy postępowanie jego byłoby beznagannem. Ale p. Łyskowski pokusił się o niebezpieczną woltę polityczną i tem samem rozżarzył namiętności przeciwników, stał się powodem nieopisanego chaosu i przyczyną rozbicia. My nie bronimy ani listy ludowego stronnictwa, ani kandydatury ks. Wawrzyniaka, lecz wierni zasadom bezstronności i politycznego objektywizmu, poczuwamy się do obowiązku szukania winy tam, gdzie istotnie wina na jaw występuje. Dziwić się tylko wypada, że „Dziennik Pozn.“, który wszędzie i zawsz kokietuje hasłem legalności, odważył się bronić p. Łyskowskiego i nie znalazł ani jednego słowa dla napiętnowania nadużyć władzy prezydyalnej. Najstarszy organ księstwa Poznańskiego lubi urągać niezaprzeczonej a jaskrawej stronniczości „Orędownika“ i „Postępu“, ale sam pomiata zasadą sprawiedliwości, gdy w walce z przeciwnikami błąd i winę na rachunek jego własnej koteryi zapisać wypada. Czcicie legalność dopóki z niej można bić kapitał dla własnych interesów, ale nie wachacie się z cynizmem tam ją odrzucić, gdzie sprzeciwia się ona rachubom i dążeniom waszym. Tak postępuje „Dziennik Pozn.“, tak postępuje również „Gazeta Toruńska“, która odczytanie listu ks. Wawrzyniaka podnosi wręcz do godności obowiązku, tając zręcznie przed wyborcami, że na zebraniu komitetowem postanowiono nad listem powyższym przejść do porządku dziennego. Pan Łyskowski sprzeniewierzył się zaufaniu kolegów swoich i w charakterze prezesa wysunął kandydaturę niekomitetową, — to pozostanie faktem niezbitym, którego adwokackie wybiegi nowoczesnych Meletusów zamaskować nie mogą.

Być może, że zapiszą nas w poczet sentymentalnych deklamatorów, jeżeli w wirze walki politycznej staniemy z zasadami etyki na ustach, ale wypisawszy na sztandarze dewizę „bez obłudy“ nie możemy z uśmiechem tolerancyi godzić się na fałszywą grę naszych publicznych działaczy. Pomijamy motywy ogólnej natury idealnej, ale zamilczeć nie możemy z stanowiska praktycznego i narodowego, że podstępne manewra, praktykowane w naszych walkach wyborczych mogą wprawdzie gdzieniegdzie momentalne stworzyć korzyści, lecz zwykle najfatalniejsze wydają rezultaty, potęgując jedynie wzajemne rozgoryczenie. Zdanie to pragnęlibyśmy niezatartemi głoskami zapisać nad biurkiem redakcyjnem „Dziennika Kujawskiego“, który w walce o mandat do parlamentu odegrał rolę tak smutną i z stanowiska chrześciańskiego tak nieszlachetną, że wstydem powinna spłonąć twarz jego redaktorów i opiekunów, Chcąc zabić przeciwników w opinii publicznej. nie zawahano się rzucić w tłumy wyrazu „ateiści“, piętnując rolę opozycyjną, którą pan Czapla w dozorze kościelnym odgrywał, mianem bezwyznianowości i wstrętu już nie do samego kościoła, lecz do wszelkiej religii wogóle. Wyzyskując katolicyzm dla postronnych celów, rzucono oszczerstwo i przypomniano nam znowu, że wygnanie samego Boga zamianują tego, kto przed politykiem w sukience duchownej nie uchyli czoła, szepcząc pokornie: Roma locuta, causa finita.

Przegląd prasy słowiańskiej:

Pomiędzy poszczególnemi stronnictwami czeskiemi wre od kilku dni walka zacięta. Artykuł charakteryzujący dosa-

dnie rodzaj polemiki pomiędzy organami różnych stronnictw znajdujemy w klerykalnym „Czechu", wychodzącym w Pradze. Z powodu ostatniego wystąpienia posłów młodoczeskich w parlamencie austryackim pisze „Czech", w numerze 83 pod nagłówkiem: „Radikaly se nazyvaji, anarchisty jsou (są)" co następuje:

„Nasi radykałowie zrzucili ze swej twarzy resztę pudru patryotyzmu austryackiego i oświadczyli bez ogródki, że za nimi przyjdą do parlamentu republikanie, czem zdradzili ukryte tendencye dzięki gadatliwości prągskiego białoskórnika (mowa tu o pośle Brzeznowskim, przyp. red.)

„My w Pradze wiemy dawno, dokąd zmierzają te wszystkie demonstracye uliczne — do anarchizmu. W tym anarchizmie stoi im na pierwszym planie przeszkodą czeskie duchowieństwo. Czescy anarchiści dotąd boją się uderzyć otwarcie w duchowieństwo czeskie dlatego stale bałamucą czytelników swoich tem oświadczeniem: „my nie występujemy przeciw księżom, tylko przeciw klerykałom.... U nich klerykał, a wróg narodu to jedno. Powie ktoś katolikowi Czechowi: tyś klerykał, niech mu bez lęku odpowie: tak, jestem nim, ale pozwól, abym tobie powiedział, czem jesteś: wy nazywacie się radykałami, a jesteście właściwie anarchistami, którzy nie mają religii, ani wiary w Boga, którzy już nie chcą nad sobą mieć pana!"

Tyle „Czech.

* * *

Radykalne „Lidowe (ludowe) Novine robią klerykałom czeskim takie zarzuty:

„Naszemu stronnictwu klerykalnemu brak zupełny poczucia patryotycznego. Z tego, co obecnie stronnictwo to czyni, wynika, że gotowe ono popierać rząd, aby sprawie narodowej i stronnictwu narodowemu szkodzić. Z tej przyczyny musi walka nasza przeciw stronnictwu temu lepiej być zorganizowaną, aniżeli dotychczas.

„Zarzuty czynione nam, jakoby stronnictwo ludowe było bezreligijnem, niechaj nikogo nie bałamucą. Stronnictwo ludowe ma sumienie czyste. Chrześcijaństwo czeskie stoi na zasadach św. św. Cyryla i Metodego: Jesteśmy chrześcijanami z dobrej woli, a nie z rzemiosła..."

* * *

Wychodzące na Morawie w Ołomuńcu demokratyczne „Selske Listy" tak piętnują agitacyę konserwatywno-klerykalną wśród Morawian:

„Na Morawii kler katolicki występuje z zarzutem, jakoby wiara i kościół były przez stronnictwo narodowe zagrożone, że więc lud musi się skupić i zorganizować do walki przeciw stronnictwu narodowemu. Człowiek wobec tego nie wie, czemu się dziwić, czy złej woli, czy zaślepieniu. W fanatyzmie ślepym biją na alarm, że dobra najwyższe ludu czeskiego, jakiemi są religia i kościół znajdują się w niebezpieczeństwie. Klerykałowie nasi nie występują w obronie praw kościoła, ale w obronie interesów swoich patronów „dobrze urodzonych". Sprawa ludu ma być przy pomocy ludu samego ubitą. Lud czeski był i jest pobożnym i obałamucić się nie da."

* * *

Białogrodzkiemu dziennikowi „Dnevni List" piszą z Macedonii:

„W zeszłą niedzielę odbył się w Niszu zjazd Serbów z Macedonii i Staroserbii. Przedmiotem obrad była kwestya narodowościowa i religijna. Wśród tutejszej ludności wzrasta propaganda za unią prawosławia z kościołem rzymsko-katolickim. Wychodzący w Bułgaryi dziennik „Płowdiw" ideę tę propaguje. Zjazd był nader liczny i obrady nader żywe. Prezydentem zebrania wybrano Josicza, który też główną wypowiedział mowę. Przemówienie swe, w którem nader ostro zwracał się przeciw propagandzie unii zakończył temi słowy: „Rzymsko-jezuicka propaganda z dnia na dzień wzrasta na półwyspie bałkańskim, a zwrócona jest głównie przeciw prawosławiu. Bułgarski exarchat jedynie w celu przeprowadzenia unii został ustanowiony. Tym sposobem chce rząd bułgarski powoli osłabić w ludności słowiańskiej przywiązanie do kościoła wschodniego.

„Inni mówcy żądali wyprawienia do sułtana deputacyi, któraby mu złożyła podziękowanie za opiekę nad kościołem prawosławnym, oraz narodowością serbską. Uczestnicy zjazdu przed rozejściem się wznieśli „živio" serbskiemu królowi i sułtanowi."

* * *

Ruski „Hałyczanin" wychodzący we Lwowie, w numerze 71 tak krytykuje wystąpienie w parlamencie austryackim posła ruskiego Wąchnianina, pod nagłówkiem „Dowolny Rusyn — to skandal" (zadowolony Rusin, to skandal"):

„Poseł ruski Wachnianin został posłem powiatu żołkiewskiego z łaski c. k. starosty pana Lanikiewicza. Oświadczenie jego, że naród ruski w Galicyi jest z dzisiejszego położenia rzeczy zadowolony, że na „hałyckiej Rusi"" jest bxze, to dowód, iż p. Wachnianin zamierza się trzymać polskich polityków.

„Co nas w przemówieniu tem najpierw musi zadziwić, to owo potrącenie o jakieś układy, które się miały toczyć w ostatnich czasach podczas trwania sejmu galicyjskiego pomiędzy Rusinami a Polakami. Czujemy się zniewoleni skonstatować, że w tych pertraktacyach nie brali udziału posłowie ruscy z klubu Rożańskiego i że poseł Roweńczuk o wiodących się układach nie rzekł ani słówka przedstawicielom partyi starczeskiej i radykalnej. Czyżby nie wiedział, co się dzieje w jego klubie?

„Drugiem, co w oczy bije, to bezpośrednia odpowiedź koła polskiego dana przez posła Zaleskiego. Ta okoliczność dowodzi, iż oświadczenie Wachnianina i odpowiedź Zaleskiego były rzeczą ukartowaną i to wówczas, gdy we Lwowie pertraktacye się toczyły. Przypuszczamy również, że się to stało bez wiedzy Romańczuka, gdyż nam się wydaje niemożliwem, ażeby Romańczuk był do tego stopnia nielojalnym, aby wystąpienie Wachnianina nie zapowie[d]ział w klubie.

„Co się tyczy mowy i programu w niej zawartego, to się nań podpisze Barwiński, chyba i jemu pokrewne duchy. Mowy Wachnianina nikt brać nie może na seryo, zważywszy, że była wypowiedzianą w chwili, kiedy przedstawiciele wszystkich stronnictw ruskich na naradzie niedawno odbytej, postanowili organizować wszystkie siły narodowe do walki przeciw obecnemu stanowi rzeczy, z którego Wachnianin zadowolony. Mowa Wachnianina pouczyła nas, że mówca puścił się z Barwińskim w zawody, aby pokazać, że go wyścignąć potrafi w umizgach do koła polskiego.

„Z odpowiedzi Zaleskiego wynika, jak drogimi i pożądanymi dla obecnej polityki polskiej są ludzie tego rodzaju jak pan Wachnianin, oraz że Koło polskie, straciwszy wiarę w Romańczuka z radością przyjmuje w Wachnianinie jego zastępcę. Na zakończenie powiemy to tylko, że przemysłowcy polityczni w rodzaju Wachnianina i Barwińskiego są ludźmi przydatnymi na to tylko, aby sobą dowieść mogli to, co twierdzą niektórzy, że wyraz „„Slavi"" pochodzi od „„Sclavi"".

* * *

Zagrzebski „Obzór", uchodzący dotąd za organ biskupa Strossmajera, taki wydaje sąd o hrabim Hohenwarcie i jego stosunku do Słowińców:

„Klub hr. Hohenwarta chybia w tem celu, że nie staje na stanowisku narodowem, lecz konserwatywnem. W Krajnie powinno być jedno tylko stronnictwo, którego celem obrona interesów narodowych. Co dobrego zdziała

---

4)

CEZARY JELLENTA.

TRYUMFY PANA WALEREGO.

(Ciąg dalszy.)

W tym zwrocie było dla Walerego coś błogiego. Dumny był zwycięstwem swego ducha. Tak więc każda lepsza musi się przed nim ukorzyć. Ale takie pojednanie z dziewczyną po wzajemnej wymianie docinków zakrawało w dodatku na sentyment. Tchnęło ciepłem szczególnem i samej sprzeczce nadawało pozór starcia dwóch jednostek, które do siebie lgną, lecz są za harde, by porozumieć się odrazu.

Zaczynał mu dopiekać głód miłości. Nie ma co mówić — powtarzał sobie — będzie bigos, bigos będzie! Nie trzeba było ślęczeć miesiącami całymi bez przerwy nad bibułą. Siedziałem pochylony, aż krzyż bolał i musiałem raz poraz wstawać i z hantlami w rękach wyprostowywać się. Teraz co? Głupie serce domaga się swoich praw. Bydlę, bydlę z ciebie i koniec...

A tu, jak na złość, atmosfera wesela i flirtu wypełniała salon. Podniecony to był nastrój nocy, rzęsiście oświetlonej. Smaczna kolacya, wina, fortepian, mnóstwo znośnych ludzi usposabiały rozkosznie, drażniły łaknieniem żywej sensacyi. Zabawa szła znakomicie, bo choć rozstrzelono się na drobne kółka, nikt nie zostawał samotnym, owszem, każdy promieniał szczęściem. Nawet panna Jadwiga była otoczona gronem panów i z binoklami złotymi na nosie czuła się jak Kleopatra ze złotym na głowie dyademem. Sześciostopowy redaktor stał za jej krzesłem i okiem znawcy i bywalca badał wązki przedział między bukietem róż, przypiętym do stanika, a pięknem ciałem. Wymokły skrzypek Jabłkowski, ubrany à la gigerl wiedeński z haftowanym gorsem u koszuli, bezcelnie lustrował obnażone ramię, opowiadając coś o Paryżu anegdotki dosyć grube, przerywane od czasu do czasu hucznymi wybuchami śmiechu. Panna Jadwiga lubiła to, a panowie jej gust znali.

Tłumno było i barwno. Umysł wpadał w odurzenie. Walery przypomniał sobie orgię, jakiej raz był świadkiem, jeszcze za czasów studenckich, gdy guwernerował na wsi. Było to w lecie, w rocznicę ślubu jego chlebodawców. Nad ranem towarzystwo rozproszyło się po ogrodzie i były chwile, że pary znikały na całe godziny z widowni...

Fala łaknienia w łonie jego wzbierała. Kobiety wypiękniały w jego oczach, patrzył na nie, jak na bohaterki romansu francuzkiego, jak patrzy nędzarz na wielkopańską ucztę przez okna pałacu.

To wszystko — myślał sobie — dla innych, nie dla mnie, a przecież nie wielem od nich starszy, a czuciem młodszy i silniejszy od najmłodszego. Mdłe zdechlaki! sprobujcie tak pracować jak ja — a prędko wyciągniecie kopyta. Pokażcie wasze ręce i piersi — pewnie to ochlapłe ciasto...

Energia w nim rosła. Runiczówna go nie opuszczała. Musi ją rozkochać, do djabła!

Rozmawiał z nią teraz poważnie. Słuchała ciekawie lub zasypywała pytaniami. Oczywiście pragnęła skorzystać i oświecić się. A kiedy wspomniał o projekcie zbudowania teleskopu ol brzymich rozmiarów, za pomocą którego można byłoby oglądać księżyc jak z bliska, oczy jej błysnęły niedowierzaniem i radością. Żadna z cudownych podróży Jules'a Verne'a nie sprawiłaby większego efektu. Zgadywał, że to chętna, pilna uczennica, która najwidoczniej wielbiła krynicę jego wiedzy.

Miał jednak tego wykładu już dosyć. Nie w tym celu spacerował z Runiczowną. Ale ona nie zdradzała najlżejszego zajęcia się jego osobą.

Tymczasem wszyscy posuwali się po pod same ściany. Ktoś z młodzieży pytał o grajka, zaś Leszczyk całował w rękę panią Łozicką i prosił, ażeby, nim wróci, zagrała sama. Potem wziął ją pod rękę i przyprowadził do fortepianu.

Rozmowy przycichły. Z gabinetu mecenasa

hr. Hohenwart dla Słowian południowych? Nic. Od roku 1885 polityką swoją chwiejną szkodził tylko Słowiańszyźnie i pośrednio przyczynił się do pogorszenia stosunków. Przeciwników hr. Hohenwarta nazywają radykałami, liberałami i rusofilami. Na czem polega ten radykalizm, tego nie wiemy, jeżeli się radykalizmem nie nazywa energicznej obrony interesów narodowych, oraz odpieranie ciosów przeciw nam wymierzonych. Liberałami jesteśmy, ale w rzeczywistem tego słowa znaczeniu. Liberałami, którzy popierają instytucye liberalne i ruch nowoczesny naukowy, bez czego niepodobna naprzód postępować. Taki liberalizm jest objawem zdrowym, nie znajduje się on wcale w przeciwieństwie do nauki chrześcijańskiej, ale istnieje oparty na niej. O rusofilstwie nie chcemy nawet pisać, bo zarzut to wręcz śmieszny. Rusofilizm to najulubieńsza broń wszystkich wrogów Słowiańszczyzny.

„Obecnie agituje się za adresem, który ma być hr. Hohenwartowi przesłany z wyrażeniem zaufania ze strony ludności słowiańskiej.

„Czy adres taki jest uzasadnionym? Z kim dziś połączył się hr. Hohenwart, z kim wszedł w koalicyę? Z tak zwanymi liberałami niemieckimi, przeciwnikami wszystkich instytucyi liberalnych. Wszystkie prawa antykościelne, które mamy w Austryi, zawdzięczamy liberałom niemieckim. Dla południowych Słowian zwłaszcza Słowińców, którzy żadnej nie mają gwarancyi dla swej narodowej egzystencyi, nie ma podziału na stronnictwa liberalne, radykalne i rusofilskie. Wszyscy patryoci słowińscy powinni w jednym stanąć szeregu i walczyć za prawa narodowe jako jedno stronnictwo niepodzielne.“

* *
*

W słowackich „Narodnich Novinach“ w numerze wtorkowym z 10 kwietnia czytamy:

„Jak wiadomo, poecie słowackiemu Swetazarowi Vajanskiemu podarowały patryotyczne Słowenki puhar złoty z napisem na dnie „Vajenskiemu Slovenky.“ Obecnie rząd madziarski wytoczył przeciw Słowenkom śledztwo sądowe. W Turczańskim św. Marcinie przesłuchiwano następujące damy: Annę Mudroniowę, żonę dyrektora banku słowackiego, Zuzannę Pietrowę, żenę redaktora „Narodnich Novin“ Maryę Chorwatowę, córkę pastora słowackiego w św. Marcinie, dalej panie Halaszowę, Olgę Meliczkowę, Maryę Bulowę i Emilię Sokolikowę.

„Również przesłuchiwano Wajańskiego. Sędzia pytał go się w języku słowackim, ale protokół prowadził po madziarsku. Na zapytanie, czy odebrał ów dar, odpowiedział, iż mu przysłano wiele darów i przeszło tysiąc listów, ale nie myśli o tem żadnych zdawać relacyj.

„Gdy przyszło do podpisania protokółu Wajański oświadczył, że madziarkiego pisma nie podpisze.

„Panie wypytywano, czy dar przesłały w jakimś celu politycznym. Przesłuchiwano je w języku słowackim, ale protokół kazano podpisać madziarski. Gdy się tego wzbraniały uczynić, sędzia oświadczył, że to muszą uczynić.

„Jednej damie powiedział sędzia, że już starczy, gdy mężowie polityknją, że nie rzeczą kobiet wdawać się w politykę.“

„Narodnie Noviny“ przyrzekają czytelników swych o dalszym przebiegu śledztwa uwiadomić.

Listy z Anglii.

II.

Ministeryum Rosebery'ego przebyło najgorszą chwilę. Rokosz radykałów odcienia Labouchere'a został uśmierzony, sojusz między parnellistami a Healy'm uniemożebniony i oto udało się rządowi uzyskać większość dwudziestu kilku głosów. Większość ta tem bardziej jest godną zaznaczenia, że zjawiła się ona przy nader drażliwej kwestyi. Ministeryum zażądało, by „dzień członków izby“, t. j. dzień, poświęcony dyskusyom nad wnioskami z inicyatywy członków izby, został oddany rządowi do rozporządzenia. Otóż w Anglii, w kraju klasycznego parlamentaryzmu, wszyscy czuwają nad przywilejami parlamentu. Pomimo tego rząd zwyciężył i w ten sposób zdobył siłę moralną, której mu brakowało. Teraz idzie o to, by rząd pokazał, co chce i co umie zrobić, jakie reformy ma w zapasie etc.

W oczekiwaniu tej reformatorskiej przyszłości ministeryum Rosebery'ego, zajmiemy się dziś innemi sprawami, rozpoczynając przedewszystkiem od spraw polskich w Londynie.

Emigracya polska w Londynie jest liczną, wynosi kilka tysięcy. Trudno wszakże podać liczbę dokładną. Statystyka oficyalna nie daje nam żadnych wskazówek, bo z jednej strony kieruje się przynależnością emigranta do państwa, a z drugiej ulega złudzeniu, mianując nierаz polakami całą emigracyę żydowską z Litwy. Otóż — niestety — emigracya żydowska nie ma nic wspólnego z polskością. Zdarzają się wyjątki, ale i te rychło bywają odtrącane od kół polskich, w których panuje silny antysemityzm. Najbardziej liczne towarzystwo polskie istniejące tu w Londynie, zostało założone przez niejakiego pana E., należącego do „polaków mojżeszowego wyznania“. Pan E. jest komiwojażerem, a pod względem swych przekonań politycznych należy do kategoryi sentymentalnych patryotów. Po roku pracy nad towarzystwem musiał on wraz ze swymi współwyznawcami wycofać się z „polskości“ Inne towarzystwo polskie — robotnicze — nazwało się odrazu katolickiem, by się od żydów obronić.

O istniejących tu towarzystwach polskich niewiele powiedzieć można. Liczba członków każdego towarzystwa jest niewielka, pomimo, że prawa i zwyczaje angielskie są niezmiernem ułatwieniem dla tworzenia się towarzystw wśród przybyszów innych narodowości. Prawo angielskie bowiem ogranicza wyszynk napojów ostrych w celu szerzenia wstrzemięźliwości. Skutek jednak prawa jest wręcz innym. Szynk angielski — public house — będący jednocześnie rodzajem monopolu, nie posiada wszystkich tych urządzeń i wygód, jakie mają naprzykład piwiarnie i kawiarnie u nas, zmuszone uwzględnić i potrzeby towarzyskie konsumentów. Angielski public house nie posiada ani stołów, ani ławek, ani nawet obszernego pokoju: klientela musi pić bez pogawędki, prędko, by miejsca przed bufetem nie zajmować, a zatem i pić dużo. W niedzielę zaś szynki są otwarte od 1 do 3 i od 6 do 11 wieczorem. To też cudzoziemcy nie mają w Londynie żadnego miejsca dla taniego życia towarzyskiego. Natomiast prawo pozwala na wyszynk w towarzystwach. Grono ludzi zbierających się stale, może szynkować między sobą, w swojem łonie, byleby zysk szedł dla ogółu, a nie dla pojedyńczej osoby. Różnica zaś między cenami w handlu hurtowym i detalicznym jest tak znaczna, że kilkadziesiąt osób może założyć już klub, a zysk bufetu pokrywa koszta niewielkiego lokalu. Istnieje tu nawet proceder cały zakładania klubów. Niemcy mają wielką ilość klubów, również Szwajcarzy, Szwedzi itd. Żydzi mają wielką trudność w zakładaniu klubów, a to ze względu na znaną wśród robotników żydowskich wstrzemięźliwość. Pomimo tej trudności istnieją w Londynie kluby żydowskie, z których jeden, popierany przez posła Montague, jest wzorowym zupełnie zakładem życia towarzyskiego. Polacy nie odznaczają się wstrzemięźliwością, ale za to nie mają talentów organizacyjnych, to też i towarzystwo polskie istnieje wprawdzie, ale żyje nędznem życiem. Przyczyny są wielorakie. Po pierwsze gospodarz stara się zarabiać, a zarobek ten wywołuje zawiści, kłótnie, rywalizacye i nadużycia; powtóre towarzystwa polskie w Londynie oprócz wypitki i kart nie dają swym członkom żadnego zajęcia, żadnej myśli. Od czasu do czasu od

---

Łozickiego wpadło parę okrzyków karcianych, z budoaru dolatywał śmiech dźwięczny i na pół dziecięcy pani Murawskiej.

— Nieprawdaż, że to śliczna kobieta, ta Murawska, — zagadnęła, usłyszawszy go Runiczówna.

— Rzeczywiście, niezwykle piękna, ale, ale, hm...

— Co, i na tem słońcu chce pan znaleść plamy?...

— Przestała mi się podobać, odkąd dowiedziałem się, że dla niej teatr Rozmaitości, zwłaszcza na premierach, jest kościołem. Nienawidzę tego mieszczaństwa, które tak święci premiery, jak żydzi rocznicę wyjścia z Egiptu.

— Tak, ale chyba jej nie można nie tylko nienawidzieć, ale nawet nie lubić?..

Zastanowiło go to. Czyżby pragnęła wskazać, jaki jest jego stosunek do Murawskiej?

— Zapewne — śliczna jest, powiedziałbym nawet, fenomenalnie piękna — odrzekł, mimowoli zapalając się i podnosząc głos, — który jednak wnet zniżył do skali obojętnej, — ale...

— A widzi pan! — przerwała Runiczówna, tonem radości, której żadną miarą podejrzewać nie było można o obłudę. Tylko szczera, życzliwa przyjaciółka mogła tak mówić o drugiej kobiecie.

— A jaka ona dobra, co to za poczciwy charakter! ciągnęła dalej z rosnącym zapałem, Czy pan wie, ile ona wycierpiała przed śmiercią swego męża? Istna męczennica.

— I na domiar wszystkiego została z dwojgiem dzieci prawie bez środków. Mama moja utrzymuje, że gdyby nie ta posada u Klapnera, musiałaby zadawalać się pomocą rodziców, a starzy Belscy sami nie wiele mają. Dla mnie to ideał kobiety, to anioł...

— A dla czegóż nie wychodzi powtórnie za mąż, przecież ją wezmą na języki.

— Ach, ona jest tak zacną i tak przebywa ciągle w świecie, że każdy jej krok jest dla wszystkich widzialny.

Uśmiechnął się pobłażliwie.

— Pani nie znasz ludzi. Oni nie znoszą wdowieństwa... połączonego z taką nadzwyczajną pięknością.

— O, o nią jestem spokojna. To nie może być, — jest na to za skromna i za taktowna, za dobrze wychowana.

Trudno było wieść rozmowę dalej. Muzyka głuszyła ją. Pary kadrylowe zaczęły przechadzać się w rozmaitych kierunkach, a potem ustawiać się. Po Runiczównę zgłosił się niebawem Leszczyk, z budoaru wyszła pogodna i również śliczna Murawska, prowadzona przez pana Floryana, młodego prawnika, który słynął z tego, że od rana do wieczora siedział w okienku narożnem u Lourse'a.

— A, pan Walery, zawołała w przelocie głosem wesołym, podniecony. Choć bowiem jeszcze nie tańczyła, mózg jej jednak wykręcał już walca na trzy pas.

— Nie, pani, nie jestem dziś usposobiony.

— Alę któż to słyszał? Proszę pana do drugiego kontredansa, dobrze?

— Ha, wobec tego zmieniam swoje usposobienie, odrzekł kłaniając się, ale ona już pewnie nie dosłyszała.

* *
*

Od tupotu, szelestu i szurgania nogami uciekł do budoaru. Był tu sam: usiadł ciężko na kozetce. Odruchowo wziął do rąk album, który oglądał już około stu razy i zamyślił się. Błogosławił w duchu tańczących, że mu pozwolili tu wytchnąć. Czuł się skołatanym, jak rozbitek. Zdawał sobie sprawę, że to okropna recydywa pierwszej młodości. A więc nie stłumił tych naiwnych porywów i tęsknot dzikiem wspinaniem się uczonego?.. I jął gwałcić poprostu swoją rozleniwioną w tej chwili wyobraźnię: przywołał na myśl swoje prace i plany, wskrzeszał w pamięci napady entuzyazmu i uprzytomniał sobie gorączkę, z jaką oblekał w ciało, każdy nowy swój pomysł. Nic to dziś nie pomogło; wypróbowane nieraz lekarstwo było bez skutku ostroga była za tępa. Snadź dusza domagała

bywa się wprawdzie jakiś obchód patryotyczny, który z nawyku już urządzany jest przez starszą emigracyę polityczną, ale na mszy i na zebraniu machinalnie odbytem kończy się cały żywot polityczny tutejszych towarzystw.

W ogóle Anglia jest zupełnie niezdrową atmosferą dla naszych wygnańców. Przybywając z kraju ekonomicznie zacofanego i szczycąc się pewną fanaberyą, będącą wypływem nierozwiniętej gospodarki pieniężnej, nie umie sobie nasz emigrant zdać sprawy z gorączkowego i obrotnego życia tutejszego. To też traci on tutaj swoją patryarchalną moralność, nie nabywając żadnej innej: po krótkim pobycie „business“ (interes) znaczy u niego oszustwo, które przy rozmiarach Londynu można popełniać bezkarnie, przenosząc się z jednej części miasta do drugiej. Oto jest jedna plaga, która trapi naszą bardziej inteligentną emigracyę.

Inna, liczniejsza część emigracyi polskiej składa się z prostaczków, z ludzi wiejskich, w pogoni za złotem runem i za zarobkiem. Część ich zostaje tu, nie mogąc się dobrać do Ameryki. Widziałem tu liczne rodziny wieśniacze, które sądziły, że już są w Brazylii, a do niej z Polski „prosta droga“ prowadzi pono. Ludzie ci już na dokach wpadają w ręce wyzyskiwaczy, którzy mają tu chararakterystyczną i malowniczą nazwę „pocicieli“ (sweater) — to jest przedsiębiorców, zniewalających ludzi pocić się na ich korzyść. W kategoryi pojęć ekonomicznych sweating ma szersze znaczenie i jest zastosowane w szczególności do tych gałęzi pracy, w których dzisiejsza forma rozwoju (wielkiej produkcyi) łączy się z dawną, przeżytą formą — pracy w domu. Pracujący w tych gałęziach wytwarzania ulega wszystkim złym przejawom jednego i drugiego systemu, cierpi od wyzysku kapitalistycznego i od niedorozwoju kapitalizmu*) Z natury rzeczy nasz emigrant wpada właśnie do tych zajęć, gdzie wyzysk jest najsilniejszy. I trudno mu wydostać się z tego piekła, trudniej jak w każdem innem mieście europejskiem, gdzie życie towarzyskie cywilizuje go i nadaje mu znajomość kraju i stosunków. W Londynie nie ma on życia towarzyskiego z ludnością angielską i oddany jest na pastwę szynków osławionego East-End (Wschodnia najbiedniejsza część miasta).

Jest w Londynie i arystokratyczna emigracya, grupująca się w „Towarzystwie literackiem przyjaciół Polski.“ Towarzystwo to zostało założone 1832 roku przez poetę Campbella, a z polskich elementów miało kierowników z obozu Czartoryskiego. Podczas powstania 1863 r. towarzystwo było rodzajem ambasady, dla Waligórskiego, wysłannika Rządu narodowego. Trzeba przyznać, że w swoim czasie towarzystwo literackie oddało sprawie polskiej niejedną usługę, umiejąc utrzymać opinię angielską w przyjaznym względem sprawy polskiej nastroju. Podczas wojny rosyjsko-tureckiej niektórzy członkowie towarzystwa występowali bardzo silnie przeciw rusofilizmowi, którym tak grzeszył stary Gladstone. Jest to ciekawem zjawiskiem, że wtedy dwa skrajne prądy — polska szlachetczyzna i międzynarodowy socyalizm, jednakowo uderzyły na liberalizm angielski, Jest jednak i ta różnica, że socyaliści wytrwali, a polskie towarzystwo się cofnęło. Dla czego? Oto poseł irlandzki Hennesy, gorliwy katolik wystosował do Czartoryskiego skargę, na jego, że się tak wyrazimy, oficynę londyńską za to, że ta ostatnia śmiała twierdzić, że katolicy irlandcy mają konstytucyę. Fakt ten jest ciekawym ze względu na solidarność katolickiego patryotyzmu irlandzkiego z prawosławnym panslawizmem.

Dziś towarzystwo literackie jest stowarzyszeniem zapomóg. W 1893 roku miało ono około 3000 marek obrotu, oprócz tak zwanego funduszu Gronowskiego, który przynosi rocznego procentu około 1500 marek. Musimy wszakże powiedzieć, co to jest fundusz Gronowskiego. Z pośród emigracyi z 1830—31 roku niejaki Gronowski ożenił się z angielką, która po śmierci swego męża z „miłości dla Polski“ zapisała cały swój majątek towarzystwu literackiemu dla wspierania niezamożnych uczestników walki o niepodległość.

W spisie dawnych prezydentów towarzystwa spotykamy szereg wybitnych nazwisk, ale dziś towarzystwo literackie nie ma nawet prezydenta, bo nim żaden z politycznych mężów angielskich być nie chce. Ostatnim prezydentem był lord Lytton, tłomacz Krasińskiego, a od 1889 roku żaden polityk angielski nie chce być „przyjacielem Polski.“

Oddałem wyżej słowo uznania dla pożytecznej pracy towarzystwa, nie chcę więc zamilczeć i o jego złej polityce. W sprawozdaniu towarzystwa za rok 1892 widzę kilka ustępów, w których autor się szczyci lojalnością Polaków w Austryi i lojalnością.... koła polskiego w parlamencie niemieckim. Otóż w Anglii i konserwatywne pisma niezawsze z lojalną sympatyą są dla polityki, domagającej się nowych podatków na cele militarne. Czas więc, by i nasi konserwatyści zapomnieli o czartoryjszczyźnie, która istniała lat temu 50, ale która dziś nie ma żadnego znaczenia i... umotywowania.

Od konserwatyzmu i klerykalizmu angielskiego przechodzą do ciekawej sprawy, która się pojawiła w londyńskiej radzie szkolnej (school Board). Kwestya religijna ma w Anglii niezmierne znaczenie już dla tego, że znaczna część ludności nie należy do kościoła anglikańskiego, ustanowionego przez państwo. Ludzie religijni*) dzielą się tutaj na conformirts t. j. zgodnych z kościołem państwowym i non conformirts, rozpadających się znowu na liczne sekty, kaplice itd. We właściwej Anglii, tak zwani conformirts mają znaczną większość, ale w Walii naprzykład na 1574000 tylko około 300000 należy do kościoła państwowego, w Szkocyi zaś w 1872 roku na 3400000 ludności zaledwie 1063000 t. j. jedna trzecia część oświadczyła swą przynależność do kościoła państwowego. Wobec zatem takiej licznej siły sekt, kwesty i wykładu religijnego w szkołach nabiera olbrzymiego znaczenia. Szkolnictwo zaś w Anglii jest pod kontrolą wybieralnych rad szkolnych, a londyńska rada szkolna, zaprowadzona około 1874 roku, ustanowiła kompromis co do wykładu religii, orzekający, że żaden specyficzny katechizm, ani żadna poszczególna formuła religijna nie będzie wykładaną w szkołach. Nauka religii — na podstawie tego kompromisu — powinna być ograniczoną do ogólnych zasad chrześcijańskiej wiary i moralności, oraz czytania biblii. „Niechaj, — mówiła opozycya, — biblia sama za siebie mówi“; na naukę dogmatów żadna strona nie chciała zezwolić, albowiem każdy inaczej dogmaty pojmuje. Kompromis ten wprowadził spokój religijny do szkół. W ostatnich wszakże czasach stronnictwo kościelne, widząc utracony swój wpływ w szkole, postanowiło przybrać politykę zaczepną. Prezydent rady szkolnej wydał cyrkularz, nawołujący nauczycieli do wykładania dogmatów, a w szczególności dogmatu o bóstwie Zbawiciela, o Niepokalanem poczęciu i o Św. Trójcy. Cyrkularz ten wywołał burzę. Stowarzyszenia nauczycieli, liczące kilkadziesiąt tysięcy członków, zwołało kongres: nauczyciele londyńkiej rady szkolnej — a jest ich około 9 tysięcy — grozili strejkiem. Charakterystycznym dla Anglii faktem jest, że poważniejsza część prasy zachowawczej, oraz biskup londyński, potępili taktykę londyńskiej rady szkolnej. Bądź co bądź nie sądzimy, by doszło do strejku: obie strony przygotowują się do oddania sprawy do rozstrzygnięcia wyborcom londyńskim, którzy w listopadzie b. roku mają odnowić skład rady szkolnej.

Kiedy już mowa o szkolnictwie angielskiem, sądzę, że czytelnicy „Przeglądu“ nie będą mi

*) U nas, w kraju, pole dla sweating stanowi tak zwany przemysł domowy.

*) O sektach angielskich jako rezultacie ruchu reformacyjnego pomówimy w innym liście.

---

się czego innego. Uśpione siły zrywały się do lotu i szukały wyzwolenia . .

Potarł czoło gniewnie i załamał dłonie, aż palce trzasnęły w stawach. Potem zerwał się raptownie i zaczął chodzić szerokimi krokami po pokoju i tak rozmawiał:

— Prawda, że Murawska nie jest tem, za com ją miał, jest kobietą o duszy całkiem powszedniej, ale jej dzisiejsza pozycya otacza ją urokiem swobody i niezależności, które oczywiście są dla mnie pokusą. Zresztą ona chyba dla mnie stworzona — o tem świadczą dziwne nasze spotkania. Do licha, gdybym wierzył w Opatrzność, nie mógłbym sobie inaczej tych zbiegów okoliczności wytłomaczyć.

Tu optymizm brał coraz więcej górę a z nim i wyobraźnia dostawała skrzydeł . . .

Puścił się na manowce słodkich rojeń. Zmrużył powieki i wzrokiem duszy widział siebie z nią razem, wędrujących po świecie, po górach i morzach, zdala od wszelkiej „śmietanki“ i „lepszych sfer.“ Byli tylko we dwoje. Wdzierali się na szczyty gór i przejeżdżali się czółnem w księżycowe noce . . . On tulił ją w objęcia — w tem miejscu uczuł przedsmak rozkoszy — całował jej karczek, szyję, ramiona . . . Zaczęły igrać zmysły i wnet na miejsce tęczowych widzeń zjawiła się niecierpliwość żądzy . . . Toć mogliby się widywać nawet tutaj u Łozickich, a stąd już niedaleko do niego.

A coby Łoziccy na to powiedzieli? Łozicki jako człowiek nadzwyczaj stateczny zacząłby protestować, narobiłby hałasu, a ona uchwyciłaby okazyę skojarzenia partyi.

Ściągnął brwi, powiało na niego chłodem: złudzenie prysło i zdało mu się na chwilę, że widzi Murawskę, jak roztywszy się na nowym małżeńskim chlebie, paraduje z nim pod rękę i całym tłuściutkim swym ciężarem wiesza się na jego ramieniu:

Nie, ona do tego niezdolna! Nie pozwoli się szpecić: ma za dużo dobrego smaku. Bah! czem go tak przywabiła jesli nie wrażeniem kobiety, która urody swej jest świadomą i potrafi ją przełożyć nad sławę wybornej gospodyni i sławę dobrej kuchni.

Tem się pocieszał, ale nie w tym celu, żeby pokonać wstręt do małżeństwa, lecz żeby odegnać chwilowy niesmak. Już bowiem zaczął żałować, że przykre widmo pokuty za krótką radość pozbawiło go żywszej sensacyi, a na miejsce pragnienia podsunęło nudę i prozę. Znowu widział przed sobą Murawskę, miłą, powabną i wytworną, jak samo piękno. A wtedy zacisnął pięście i wściekał się w duchu na wszystkich swoich domniemanych Katonów. Gdyby dostał teraz którego z nich w swoje ręce, dałby mu trochę na rachunek. Usta mimowoli szeptały klątwy i szyderstwa i karmił się samą myślą, że stanie przed nim świętoszek z naganą, a on mu zamknie gębę repliką, która mu pójdzie w pięty.

Była to wewnętrzna deklamacya człowieka, oburzonego na zło, którego mu jeszcze nikt nie wyrządził, ale którego mógł się spodziewać. Zamało miał doświadczenia w sztuce zjadania serc niewieścich, by przystępować do dzieła z pewną miną i wiarą w siebie. Zawczasu, więc, zanim nawet krok uczynił, już się straszył i nękał przeszkodami i wrogami. Na myśl więc o nich, płomień mu wybił na twarz, a oczy błysnęły dziko. W tej chwili niechybnie zdolnym był do napaści tygrysiej. Zdawało mu się, że to ludzie są temu winni, że on dotąd żył tak mało i czuł tak słabo, a nie jego własna pogarda dla przygód miłosnych i w miarę, jak obwiniał świat o swoją krzywdę, zapalał się ogniem, który dłoń jego, zatopioną w resztę czupryny, przyprawiał o silne, febryczne niemal drżenie.

— Czem jestem gorszy od innych? — zapytywał siebie. Czy tem, żem więcej nocy nad książkami i cyframi strawił, żem wolał fechtować się, niż bawić się w sekretarza lub teatr amatorski? Lada kretynowi wolno kochać, podbijać, uwodzić, a ja mam sobie kaganiec na gębę wkładać, dlatego, żem od nich lepszy i silniejszy? Lenuchy i wymoczki!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

złorzeczyli, gdy podam tu kilka danych statystycznych zarówno co do rozwoju, jak i stanu sprawy oświaty ludowej w Anglii. W 1874 r. londyńska rada szkolna miała budżet, dochodzący zaledwie 138,000 funtów szterlingów, podczas gdy dziś wydaje ona na wykształcenie 1,969,000 f. Dwadzieścia lat temu zaledwie 65 tysięcy dzieci mogło uczęszczać do szkół Rady, a dziś zakłady jej są otwarte dla 500,000 dzieci. W 1850 roku zaledwie cała Anglia mogła dostarczyć środków kształcenia pół milonowi dziatwy. Przymus szkolny ostatecznie został zaprowadzony dopiero od 1880 r., a bezpłatność w szkołach ludowych jest zdobyczą z 1892 r.

Zakończę list dzisiejszy wiadomością o śmierci pana majora Le Caron. Pod tym nazwiskiem niejaki Beach wydał już rok temu swe wspomnienia p. t. „Dwadzieścia pięć lat w służbie tajnej. Wspomnienia Szpiega“, książkę, która miała i ma jeszcze wielki rozgłos. Le Caron, awanturniczego usposobienia, nie lubiał szkół, z których uciekał, był jakiś czas w Paryżu, zkąd przeprawił się do Ameryki, gdzie walczył o zniesienie niewolnictwa i dosłużył się rangi „majora“. Po takich zasługach, zdobytych w sprawie wolności, Le Caron zajął się pracą dla „porządku“ i stał się dobrowolnym szpiegiem rządu angielskiego przeciw irlandzkim fenianom. Rzemiosło piętnuje człowieka, a rzemiosło Le Carona wywołuje potrzebę maskowania istotnego oblicza przechwałkami, przesadami itd. Trzeba zatem większą część tych rewelacyj uważać za płody bujnej fantazyi; pozostanie jednak dosyć, by mimowoli wzbudzić w czytelniku niektóre uwagi. Tajne sprzysiężenia, misternie ułożone projekty zamachów politycznych, jednem słowem cały ten romantyzm polityczny z ubiegłego półstulecia staje się dziś absurdem.

Irlandczycy zbliżają się do celu drogą zbiorowego, narodowego ataku na polityczną maszynerye Anglii. Póki zaś błąkali się w nocnych marszach i kontrmarszach konspiracyjki, padali ofiarą bądź od ręki katów, bądź od ręki szpiegów. *Wacław Nadolski.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z emancypacyjnego ruchu kobiet w Nowej Zelandyi.

Na dziewiczej, nie przesyconej tradycyą historyczną glebie zaoceanowych kolonii europejskich dokonywają się eksperymenty społeczne, które na dziś w starej Europie niemożliwemi by się zdawały. Kolonie te przedstawiają wygodny teren do doświadczeń, jako niewielkie skupienia ludnościowe, oraz jako grupy podatne do zmian, bo nie hołdujace żadnej uświęconej wiekami formie społecznej. Wcielając w czyn teorye i hasła, podnoszone i rozwijane przez myślicieli stałego lądu, stają się one rodzajem stacyj doświadczalnych, na które uwaga Furopy zwróconą zostaje, ile razy dokonają śmielszego eksperymentu. Zauważyć przytem można, że śmiałość reform stoi w odwrotnym stosunku do dawności kolonii, jak gdyby wychodźcy starego lądu zabierali każdorazowo ze sobą najdalej idące wyniki teoryj społecznych, z których snują dalej ewolucyę swego rozwoju.

Wszystkie warunki takiej stacyi doświadczalnej do eksperymentów społecznych posiada Nowa Zelandya. Angielskiej ludności, która stanowi dziś 96 proc. całej, nadany został w 1852 roku obszerny samorząd, ograniczony nieco w r. 1875 przez dopuszczenie tuziemców do głosu oraz przez udział władzy królowej angielskiej, którą sprawuje naznaczany przez kraj macierzysty gubernator. Krajem rządzą dwie izby: rada prawodawcza, złożona z 45 członków, mianowanych dożywotnie przez koronę, oraz parlament, obierany przez ludność kraju. Od 1875 roku do parlamentu należy 74 członków, wśród których znajduje się 5 Maorów (ludność tuziemna). Cała ludność kolonii wynosiła w 1886 roku 620,451 mieszkańców, licząc w to 41 tysięcy Maorów. Przytem ludność męzka liczniejszą jest zarówno wśród anglików jak i tuziemców od żeńskiej, co prawdopodobnie wpływa korzystniej na społeczne położenie ostatniej (na 100 ludności wśród anglików było 54 mężczyzn i 46 kobiet). Tak więc zarówno niewielka ludność jak i stosunek płci korzystnie wpływały na zrównanie kobiet w prawach wyborczych, które przed paru miesiącami i u nas wywołało ogólną sensacyę.

Kolonia wogóle odznacza się wielkim liberalizmem ustaw: żadna np. religia uznana nie jest za panującą, a państwo żadnej nie daje zasiłków w jakiejbądź formie. Religia jest przeto sprawą najzupełniej prywatną, dzieci w szkołach otrzymują wyłącznie świeckie wykształcenie, przytem dodać należy, że szkoła jest bezpłatną i przymusową dla dzieci od 7 do 13 lat, zarząd zaś szkół należy do ministra oświaty i 990 rad szkolnych.

Niemniej liberalnem od ustroju kościelnego i szkolnego jest prawo wyborcze, które dziś obejmuje też kobiety. Wyborcą może być każdy mieszkaniec lat 21 wieku, zamieszkały w kolonii i w okręgu wyborczym od sześciu miesięcy przynajmniej, albo posiadający własność ziemską, wartości najmniej 24 f. szt. Temu samemu prawu podlegają Maorowie.

Niemniej pozostaje pytanie, jaką drogą rozszerzono prawo wyborcze na kobiety i jakie są bezpośrednie następstwa tej prawodawczej nowości. Dajemy tu głos miejscowemu korespondentowi, nie zmieniając wniosków, do jakich dochodzi, oraz horoskopów stawianych na przyszłość. (R. M. Bakewell: New-Zealand under female franchise. Nineteenth century — luty 1894 oraz marzec.)

Przed dwoma czy trzema laty bill o prawie wyborczem kobiet przyjęty został przez parlament, ale upadł w radzie prawodawczej. Przytem ogromna większość kobiet nie wypowiadała życzenia praw równych jeszcze na kilka tygodni przed przyjęciem billu. Zaledwie kilka „dzikich“, jak je nazywano, po większej części fanatycznych antyalkoholistek tworzyło stowarzyszenia po głównych miastach, liczące 39—40 członków. Stowarzyszenia te nie wywierały właściwie wpływu na szerokie koła kobiet. Gdy bill upadł w izbie lordów, nie znalazłem ani jednej kobiety, powiada korespondent, która by żądała prawa głosu, a jednak petycya opatrzoną została tysiącami podpisów.

Jakże się to stało? Politycy konserwatywni, a zwłaszcza sir John Hall, dawniejszy premier gabinetu, przekonani byli, że kobiety wzmocnią partyę konserwatywną. Fanatyczni znów prohibicyoniści, którym udało się w kwestyi napojów alkoholowych otrzymać projekt prawa o zniesieniu szynków tam, gdzie ludność się no to zgodzi — (co trzy lata wyborcy w okręgach swoich rozstrzygnąć mają: 1) czy w okręgu mogą być udzielane pozwolenia na otwarcie składu trunków? 2) czy ilość składów ma być zmniejszoną? 3) czy ilość składów należy powiększyć?) — doszli do wniosku, że bez udziału kobiet nie uda im się nigdzie reformy przeprowadzić i dla tego z całą energią rzucili się do agitacyi za prawem wyborczem kobiet.

W każdym okręgu wyborczym odnajdowali nieliczną, ale zdecydowaną mniejszość, która działała energicznie, dając do zrozumienia niezdecydowanym członkom, że jest to kwestya pierwszorzędnej wagi. Liczni przeciwnicy prawa w parlamencie dali się namówić do głosowania za prawem, przekonani, że musi ono upaść w radzie prawodawczej. Tymczasem do billu wprowadzono poprawkę o prawie wyborczem kobiet. Potajemnie żywiono nadzieję, że oponenci prawo w radzie prawodawczej potrafią oba-

LISTY
Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.

II.

Od wiosny do młodzieży — jakież łatwe przejście; wszak wiosna, pora kwiatów, jest młodością roku, a młodzież nazywają kwiatem społeczeństwa... Czy zawsze zasługuje na to miano?

Bywają chwile tak ciężkie w życiu narodów, że i ten kwiat okazuje się stoczonym przez robactwo. Zdaje się, że obecnie przeżywamy jedną z tych ciężkich chwil, kiedy fala postępu opada głęboko, znacznie niżej poziomu przeciętnego.

Bo:

...gdy zagaśnie blask promiennej zorzy,
Gdy myśl ożywcza sercami nie włada,
Zaraz duch ludzki waha się i trwoży,
I nikczemnieje znowu i upada.
Wtedy strach tylko pędzi ludzkie stada,
W których zepsucie i rozpacz się mnoży
I rzesza ludów przerażeniem blada
Błądzi bez celu wśród ciemnych rozdroży...

Że ciężka ta chwila odbiła się i na młodzieży uniwersyteckiej warszawskiej świadczy o tem jedna z szeregu broszur, wydawanych pod wspólnym tytułem „Z dzisiejszej doby“.

Nie należę do wielbicieli tego wydawnictwa. Przeciwnie, od pierwszych broszurek uderzał mnie w nich brak jasnej myśli przewodniej społecznej i politycznej, brak głębszego pojmowania teraźniejszości i słabość formy. Jeśli jednak znalazła się gromadka ludzi, która w uczciwych i szczerze patryotycznych zamiarach podjęła się wydawnictwa, połączonego z licznemi trudnościami, prawdopodobnie ofiarami pieniężnemi i z pewnem narażaniem się — wydania te nie mają u nas debitu legalnego, a więc muszą być przemycane — wydawnictwa, które pragnie zadość uczynić potrzebie, istniejącej niewątpliwie wobec zaryglowania przystępu do prasy cenzuralnej wszelkim zagadnieniom żywotnym, to przedewszystkiem powinniśmy, zamykając oczy na słabe strony takiego wydawnictwa ocenić dobre chęci wydawców i tę korzyść, którą przynosi chociażby mniej umiejętnie i z mniejszym talentem spełniona próba poruszenia zagadnień chwili bieżącej w swobodniejszych warunkach; a następnie — o ile poczuwamy się do możności zrobienia czegoś lepszego — albo przyjść z pomocą temu samemu wydawnictwu, dając mu nasze siły umysłowe i literackie, albo też, idąc za jego przykładem, starać się zrobić coś lepszego.

Tymczasem nigdzie tak jak w Warszawie nie ma racyi bytu twierdzenie o łatwości krytyki. Każda pensyonarka, uważa się za upoważnioną do mówienia o tym lub owym pisarzu, nie wykazującym dostatecznej „elegancyi stylu“. — I w tem właśnie objawia się ów stary uprąd opinii, o którym mówiłem już w poprzednim liście, że nawet do broszurek, o zadaniu czysto praktycznem — budzenia uśpionej świadomości narodowej, drzemiącego poczucia sprawiedliwości w społeczeństwie, które utraciło już zdolność reagowania na własne krzywdy — przykłada się miarka sybarytyzmu duchowego, wymagając wykwintnego stylu i wypieszczonej formy; tak jakby te broszury już wedle samej istoty zagadnień przez nie poruszanych nie były utworami efemerycznymi i doraźnymi.

Zapewne lepiej by było, żeby nie były taką „letnią wodą“; żeby były napisane z większym ogniem, żeby na zagadnienia chwili bieżącej rzucały światło ideałów przyszłości, żeby teraźniejszość pojmowały przy pomocy głębszego wejrzenia w przeszłość, i może jest w tem trochę winy wydawców, iż zbyt ufni w swe młode siły nie starali się przyciągnąć umysłów i piór bardziej doświadczonych. Jakkolwiekbądź jednak dobre jest to, co się robi, dopóki nie ma lepszego.

Ostatnia z broszurek tego szeregu (IX. Warszawska młodzież uniwersytecka) przedstawia w bardzo ciemnych barwach poziom moralny studentów warszawskich jako ogółu, a nie zdaje

lić, jakkolwiek przyjazne mu obecne ministeryum wprowadziło do rady dwunastu nowych członków. W ostatniej wreszcie chwili kilku przeciwników billu, chcąc sprzeciwić się ministrom, głosowali przeciw ograniczeniu prawa wyborczego mężczyzn, a za dopuszczeniem kobiet. W taki sposób bill przeszedł i w radzie prawodawczej. Opór postawić mógł tylko gubernator, uważając reformę za niewczesną, nie wprowadzoną dotąd w żadnej z kolonij angielskich, której przyjęcie równałoby się przekroczeniu jego atrybucyi. Gubernator hr. Glasgowa, kapitan marynarki królewskiej, otrzymał niedawno naganę za wahanie w kwestyi przyłączenia 12 nowych członków do rady prawodawczej, oraz utworzenia nowych 154 parów, nie mając więc ochoty narażenia się na nową naganę, reformę zatwierdził. W taki sposób prawo, którego istotnymi zwolennikami było kilku fanatyków i kilku konserwatywnych polityków, a którego nie pożądało 95 proc. ludności zostało przyjętem.

Zrazu zdawało się, że żadna z kobiet nie będzie korzystała z przyznanego jej prawa. Zaczęła się przecież agitacya ze strony poplecznikow reformy. Inne partye, zawistne, patrząc na wzmocnienie ich partyi przez głosy niewieście, postanowiły też na swoją korzyść prawo wyzyskać i przy pomocy przemówień prasy nakłaniać poczęły kobiety do korzystania z udzielonego im przywileju. Dotąd nie da się obliczyć, ilu nowych wyborców płci pięknej przybyło Nowej Zelandyi (wyborców mężczyzn liczono w 1887 r. 175.410) ale w każdem z miast większych głosowało ich kilka tysięcy.

Kobiety interesują się tylko dwiema kwestyami: systemem prohibicyjnem (przeciwko napojom alkoholowym), oraz wychowaniem świeckiem. Z powodu nadużyć pijaństwa ucierpiały one dużo przez mężów, ojców, braci, to też korespondent opowiada o młodej mężatce, żonie marynarza, która na zapytanie: w jaki sposób skorzysta z aktu parlamentarnego, odrzekła poważnie: „Dam głos za prawem, znoszącem wszystkie szynki w Nowej Zelandyi.“

Niema wątpliwości, pisze korespondent w przeddzień wyborów, że kandydaci parlamentarni, którzy obiecali głosować za zakazem, przyciągali największą część wyborców.

Zmianami szkolnemi kobiety nie mniej się zajmują. Obecnie w szkole niema nauki religii, nie czytają tam biblii, nie uczą nawet historyi świętej. Od niejakiego czasu między myślącymi ludźmi wzrasta dążność do wprowadzenia nauki chrześcijańskiej. Generacya obecna wie po większej części równie mało z dziejów pierwszego chrześcijaństwa, jak z ówczesnej historyi Chin.

Kobiety są namiętnemi zwolenniczkami istniejącego dzisiaj systemu szkolnego, (przymusowego, bezpłatnego, świeckiego), jak tłomaczy autor, powodowane interesem materyalnym. W każdej rodzinie jest nauczycielka lub kandydatka na nauczycielkę, otóż kobiety obawiają się, że podstawy ich egzystencyi materyalnej podkopane być mogą przez reformę, która pozwalałaby nie uczęszczać do szkoły dzieciom rodziców, którzy systemu panującego nie pochwalają. Pomijając dalsze wywody autora, przytaczamy opis wyborów z 28 listopada, jaki podaje:

Punkt o 9 z rana otworzono lokale wyborcze, które zapełniły najpierw kobiety. Tylko sześć osób głosować może naraz, ale w każdym budynku jest po kilka lokalów wyborczych. Nie było ani zamięszania, ani krzyków lub przeszkód jakiegokolwiek rodzaju między wyborcami, ani większego zamętu jak w dzień zwykłych wyborów. Na ulicach ruch zwyczajny, może tylko trochę więcej kobiet, niż codzień z rana. Powozy i karety przywoziły „panie“ do urn wyborczych, a wszystko szło w takim porządku, jak gdyby kobiety głosowały od czasu samorządu kolonii. Przez cały dzień nie spotkałeś ani jednego pijaka, a kobiety bez wszelkiej przeszkody podchodziły do lokalów wyborczych, zatrzymywane tylko przez bardzo uniżone prośby agitatorów, popierających jakiegoś kandydata.

Rezultaty wyborów, ogłoszone w dniu 1 grudnia, stanowiły zupełną porażkę dla kandydatów opozycyi obalonej prawie. Jak się zdaje więc, wbrew twierdzeniu korespondenta rząd dobrze wiedział, co robi, dając kobietom prawo wyborcze. Jak mówi opinia publiczna rezultatem wyborów, jakiekolwiek byłyby zmiany w składzie dzisiejszego ministeryum, jest to, że kolonja przez najbliższe trzy lata spodziewać się może bardzo radykalnego prawodawstwa. Opozycya jest ubezwładnioną. Najbardziej wpływowi politycy nie zostali wybrani, albo zaniechali polityki. Wybrani obecnie, z wyjątkiem jednego lub dwóch, pochodzą z najmniej wykształconych warstw ludności: albo z drobnej burżuazyi, albo po prostu z bruku. Zastąpili oni ludzi wykształconych i doświadczonych.

Takie są rezultaty wyborczego prawa kobiet! woła autor. Podobny rezultat daje wszelka demokratyzacya społeczeństwa z początku. Masy popierają kandydatów, którzy przejmują się najsilniej ich bezpośredniemi dążnościami, a przytem głoszą hasła etyczne,

LITERATURA I SZTUKA.

Między wrogi.

(Fr. Nietzsche.)

Szubienica — tam powrozy,
Obok groźny stoi kat,
Tłum wokoło, pełen zgrozy —
Wszystko stare jak ten świat!
Nie raz pierwszym na szafocie,
W twarz ja waszą z śmiechem plwam:
Mnie powiesić w stryczka splocie!
Ja nie umrę — mówię wam!

Nędzni! wy mi zazdrościcie,
To, com zdobył, nie wasz łup:
Cierpię, cierpię całe życie —
Ale wy — wy śmierć — wy trup!
Choć sto razy na szafocie,
Jam jest światło — jam jest ruch: —
Mnie powiesić w stryczka splocie!
Umrzeć? — jam za życia duch!

Tłom. M. Lange.

Z ruchu muzyczno-teatralnego Warszawy.

II.

(Bajki. — Wycieczki z przeszkodami. — Irena.)

Teatr Rozmaitości mniej więcej raz na miesiąc wystawia oryginalną sztukę swojskich autorów, nie dłużej bowiem, jak w ciągu miesiąca sztuka nowa robi kasę: najczęściej na dziesiątem już przedstawieniu każdej z nich świecą pustki. Jeden jedyny Flirt Bałuckiego utrzymuje się blizko już rok na repertuarze, zawsze jeszcze wabiąc publikę. Muza autora wysiliła się tutaj na humor i werwę, nie zostawiając ich już dla późniejszych jego tworów. Drugą z kolei sztuką Bałuckiego wystawioną u nas po Flircie były **Bajki**, komedya aż w 4ech aktach o akcyi wprawdzie nie leniwej, na scenie bowiem widzimy ruch ciągły, ciągłe djalogi i ciągłą zmianę osób, lecz wynikającej z intrygi tak banalnej, niezręcznej, iż po pierwszym zaraz akcie każdy przeciętny słuchacz odgaduje całość intencyi autora. Nigdzie cienia niespodzianki. Wie się z góry, że koniec będzie pomyślny, a dojść do niego łatwo: matnia bowiem, w którą wpadają bohaterowie, zamiast z niedostrzegalnych pajęczych nitek, utkana z takich grubych, ciężkich powrozów, że dostrzega ją od razu najzapamiętalszy krótkowidz. Treść Bajek błaha. Młody bankier, Feliks Morwa,

---

mi się, o ile sądzić mogę ze spostrzeżeń osobistych, iżby barwy te grzeszyły przesadą.

Nie idzie tu o pojedyńcze wypadki upadku moralnego jednostek: takie wypadki zawsze się zdarzają — może dziś ich więcej jest niż zwykle — ale o sądy wygłaszane z ich powodu, o tę miarę wymagań moralnych, którą stosują przy ich ocenie.

Oto np. jakiś karyerowicz posunął lizusostwo połączone z manią pisania do tego stopnia, iż umieścił w urzędowym „Warszawskim Dniewniku“ jakiś nikczemny artykuł, podpisany literami swego kuzyna. Ten ostatni, chcąc się usprawiedliwić wobec opinii publicznej, wymógł na redakcyi ogłoszenie, że nie jest autorem owego artykułu. Następstwem tego ogłoszenia była dlań rewizya nocna i wydalenie z posady, którą zajmował na kolei; tymczasem prawdziwy autor artykułu, student uniwersytetu jak najspokojniej ukrywał się za cudzemi literami początkowemi podpisu, dopóki nie został przyłapany u niego brulion artykułu. Wtedy pociągnięto go do sądu koleżeńskiego.

Otóż charakterystyczne są zdania, przytoczone przez niektórych w obronie oskarżonego:

„Słyszałem, powiada autor broszury, zdanie, iż K-go uniewinnia ta okoliczność, że artykuł nie jest wyrazem jego przekonań! Inni uważali, że postępek I. K. względem jego kuzyna zupełnie zgładzonym został przez to, że p. K. K. (jego kuzyn mylnie posądzony o autorstwo) wystarał się już o inną lepszą posadę dla siebie. Są zaś nawet i tacy, którzy uważają, że K. zrehabilituje się, jeśli przez zdradę i upodlenie, za protekcyą Krestowskiego (redaktora „Dniewnika“) zarobione pieniądze zwróci na rzecz niezamożnych kolegów! — Ba! widziałem i takich, którzy czule dłoń jego ściskali, nazywając go „naszym szanownym (sic!) literatem.“

Jakież to niziny utylitaryzmu i bałwochwalstwa faktu!

Niesłuszne podejrzenie rzucone na człowieka wobec opinii publicznej staje się niczem, skoro tylko przypadek pozwolił wynagrodzić materyalną krzywdę; a wszelka podłość usprawiedliwia się, jeśli jej owoce przyniosą materyalną korzyść.

Drugim smutnym a wymownym faktem jest historya z balami i koncertami studenckimi, w których również nie odbija się nikczemność wyjątkowej jednostki, ale nizki poziom wymagań ogółu.

Dochód z tych zabaw, wynoszący po kilka tysięcy rubli rocznie i przeznaczony na zapomogi dla niezamożnych studentów, zostawał ku rozporządzeniu inspekcyi, która znaczną część jego oddawała studentom moskalom, trochę pedlom, a resztę — studentom polakom, „dobrze notowanym“ w inspekcyi.

Aby usunąć demoralizujący wpływ tego rozdawania funduszu zebranego z ofiar publicznych, przez inspekcyę, która posługuje się stypendyami, jako środkiem stłumienia poczucia jedności, odbierając je najbardziej potrzebującym za każdy objaw myśli niezgodnej z jej wymaganiami: aby uniknąć prócz tego upokorzenia otrzymywania ofiar od Hurki (generał-gubernator), Broka (główny żandarm), Kleigelsa (oberpolicmajster), Blocha (zaprzedany rządowi żyd, bankier), i innych również sympatycznych osób, składających swoje sturublowe datki na takie bale, studenci postanowili je skasować i zastąpić inną formą korzystania z ofiarności publicznej, która by oddawała fundusze do rozporządzenia samym studentom.

Próba okazała się pomyślną, gdyż ilość pieniędzy, wpływających bezpośrednio do rąk studenckich dla niezamożnych kolegów, przeniosła zyski z koncertów i balów urzędowych. Zwrot ten oczywiście bardzo się niepodobał inspekcyi, lecz prócz inspektora nie podobał się również paniczykom i karyerowiczom, którzy stracili sposobność urzędowego występowania na koncertach i balach w roli gospodarzy, wobec nadobnych i posażnych cór Warszawy, sposobność robienia korzystnych dla przyszłej karyery znajomości, możność wślizgnięcia się do salonów arystokracyi i bogatej burżuazyi itp. Za ich staraniem też bale zostały przywrócone. Otóż ciekawa rzecz w jaki sposób oddziałali ci

zasięga rady kuzyna swej żony, Ludwika, w kwestyi daru imieninowego, jakim zamierza ucieszyć ukochaną Julję, „koliberka,“ która nadstawia mu do pieszczot uroczy swój dzióbek, ilekroć zmęczony pracą wraca do domu. Ludwik odsyła Morwę do niejakiej p. Grubalskiej, twierdząc, iż dama ta najlepszych udzieli mu wskazówek. Julja wchodzi w chwili, gdy Morwa z Ludwikiem rozbierają sprawę owego daru. Zaciekawiona pierwszą tajemnicą, jaką Feliks ma przed nią, bada Ludwika: ten ostatni wpada na genjalny pomysł oznajmienia kuzynce, iż sekretem zaleconym mu przez Morwę, ma być grożące temuż bankructwo. Zrozpaczona Julja zamierza sprzedać wszystkie kosztowności swoje dla uratowania męża, gdy w tem zjawia się przyjaciółka jej, Wścibińska, pierwsza bajczarka w mieście i oznajmia, że Feliks ma romans z p. Grubalską, młodą żoną niemłodego już człowieka, za którą rok temu szalał jakiś oficer. Julja zwierza się przyjaciółce z domniemanego bankructwa Feliksa. Wścibińska uprzedza o tem niejakich państwa Klonowskich, którzy złożyli u Morwy cały swój kapitał, około 100000 r. gotówką, i ci postanawiają wycofać sumę. Ostrzega również o niebezpieczeństwie grożącem córce ich, Teci, narzeczonej p. Karola Sędzińskiego, hulaki i awanturnika romantycznego, który uwiódł ostatnimi czasy młodą nauczycielkę. Tyldzię. Zadomowiwszy się u Klonowskich na dobre, wprowadza do nich siostrzeńca swego, Pafcia, który ma odbić Karolowi posażną narzeczonę.

Intryga zawiązana potrójnie: następują powikłania.

Wieść o bankructwie Morwy rozchodzi się lotem błyskawicy; wierzyciele oblegają tłumnie kantor jego, żądając wypłaty kapitałów swoich. Klonowski wymawia mu sumę. Słodka i kochająca Julja odwraca się od niego. Jedyny przyjaciel Grubalski, przychodzi z gradem wyrzutów za oszczerstwa, jakiemi Morwowa miała jakoby zasypać żonę jego, spokojną i cnotliwą kobietę. Feliks ujmuje się za Julją: następuje zacięta szermierka między mężem oskarżającej i oskarżonej: kończy ją przerwany w porę pojedynek, poczem, horyzont wyjaśnia się, rozplątując sieć intryg. Awanturnikiem i uwodzicielem miłosnym okazuje się nie Karol, lecz cnotliwy, niewinny Pafcio. Oficer, domniemany kochanek Grubalskiej, był rodzonym jej bratem. Telegram donoszący o szczęśliwych operacyach finansowych Morwy, czyniący go milionerem, przywrócił mu ufność wierzycieli. Klonowski zostawia mu nadal sumę swoją, Tecia rzuca się w objęcia uwolnionego z pod zarzutu wiarołomstwa Karola, Grubalski zwraca honor nieobecnej swej żonie; wszyscy cieszą się, prócz zdemaskowanej Wścibińskiej oraz schwytanych na potajemnej schadzce Pafcia i Tyldzi. Zasłona spada; słuchacz wychodzi ani zbudowany wątkiem sztuki, ani zabawiony humorem, werwą i dowcipem, których brak w niej zupełny. Domniemana ruina Morwy, jako wynik czczej paplaniny dwu kobiet i jednego kuzynka, to doskonały wątek dla żywych, ruchliwych fars francuzkich, nie liczących się z wymaganiami prawdopodobieństwa, nie dbających o rzeczywistość, żądnych tylko ruchu i akcyi, nagromadzenia całego szeregu powikłań, które rozsnuwają się przed oczami widza na kształt sennych majaczeń, bez logicznego umotywowania Faktów bez kolejnego ich następstwa po sobie. Bodajby był Bałucki zrobił z Bajek farsę francuzką, zaprawioną swojską werwą. Tendencya sztuki nie straciłaby na tem, publiczność zaś zyskałaby kilka godzin zabawy. Po wesołym flircie muza komedyopisarza uderzyła w ton odmienny, ze szkodą niestety, dla samej siebie i dla życzliwych mu zawsze słuchaczów.

Drugą z kolei sztuką, wystawioną w teatrze Rozmaitości po Nowym Roku, były Wycieczki z przeszkodami, krotochwila w 3ch aktach Lubowskiego.

Autor spożytkował tu wydarzenia, wielokrotnie już odtwarzane na scenie, nie okrasiwszy ich, jak na krotochwilę, werwą dostateczną.

Dwaj mężowie Jabłkowski i Mielnicki zrzuciwszy z siebie jarzmo obowiązków ślubnych, wyruszają w podróż wraz z kochankami. Osiadłszy w Heist na kilka tygodni i poznawszy tam dwóch rodaków, Burzymowicza i Faraniewicza, przedstawiają im kochanki, jako żony swoje. Żania i Frania znudzone swymi „starymi,“ złe na nich, że przywieźli je do głuchej pustej dziury nadmorskiej, zamiast do Ostendy bawią się, robieniem „perskiego oka“ do dwóch wesołych i chciwych wrażeń rodaków. Zazdrośni opiekunowie wybuchają gniewem na niewdzięczne pupilki za kokieteryę ich, niesforność i brak wychowania: scena zazdrości byłaby przeciągnęła się może dłużej, gdyby nie telegram, zwiastujący przybycie legalnych żon, które przypadkiem wytropiły miejsce pobytu małżonków swoich. Żania i Frania wyjeżdżają do Ostendy; zamiast nich, Jabłkowski i Mielnicki, kwaśni i zakłopotani, oprowadzają po wybrzeżu wierne swe Penelopy, Annę i Melanię, które Burzymowicz i Faraniewicz traktują, jak kokoty, nie wierząc w świątobliwość ich i cnotę. Obrażeni mężowie wyzywają ich na pojedynek, nie dochodzący naturalnie do skutku. Rodacy, obudziwszy pewne podejrzenia w paniach Mielnickiej i Jabłkowskiej co do wierności ich małżonków, biorą domniemaną winę tychże całkowicie na siebie. Koniec pomyślny, gdyż w farsie nie może być inaczej, a sens moralny? — Od krotochwili nie wymaga się aż tyle, jednak — zjadliwa, piekąca, jak ziarnko gorczycy, satyra na bieżące stosunki towarzysko-społeczne mogła była stworzyć go i tutaj. Wszak i w farsie widzimy odtworzenie życia, a iskra złośliwego humoru, rozniecana z pewną świadomością swego zadania, odświeża każdy najbardziej zużyty temat. Wszak myśli nasze nicujemy ciągle, dodając do nich tylko nowe osłonki o zmienianych w miarę potrzeb i przekonań chwili kombinacyach barw oraz formy. Jedyną świeżą i całkiem oryginalnie obmyślaną postacią w krotochwili Lubowskiego jest Burzymowicz, obywatel z Kołomyjskiego, trochę naiwny, szczery, a zawsze bardzo komiczny. Wyczekuje się z upragnieniem wejścia jego na scenę: bawi publiczność, skupiając cały humor w sobie. Dla tej jednej roli odtworzonej przez p. Frenkla, stałego artystę teatrów naszych świetnie, można nie żałować wieczoru, spędzonego na wycieczkach.

Sztuką, która wywołała ogromną rozmaitość zdań i sądów, której jedni przepowiadali upadek, inni zaś wielkie powodzenie, była wystawiona przed miesiącem czteroaktowa Irena p. Graybuera. Temat dla niej wzięty ze słynnego procesu galicyjskiego, jaki miał miejsce rok temu; fantazya autora odbiegła od niego w wielu miejscach, naturalnie, wątek główny pozostał wszakże prawie nietknięty. Nie szkodzi to sztuce, a zaciekawia wielce słuchaczów. Autor Ireny przy wielkim swoim talencie i znajomości sceny, zdołał z odtwarzanych już tysiąckrotnie powikłań dramatycznych, wysnuć efekty, całkiem dla widza nieoczekiwane. Naciera on na nas taka moc niezliczona, iż zapieramy oddech, śledząc je. Sztuka kończy się ponuro, śmiercią dwóch istot, paraliżujących byt cichej, zgodnej rodziny, która może i musi być nadal szczęśliwą. Uwiedziony przez Irenę Kaźmierz Ratyński wróci z pewnością na łono świętej, cnotliwej swej żony, Jadwigi, lilji białej, nad którą tylko chwilowo i to pod wpływem chorobliwego opętania, mógł przenieść kapryśną, niesforną, biedną, chorą ale bardzo piękną Irenę. Lilja biała wybaczy mu zdradę; wybaczyła mu ją zresztą pod wpływem zasad etyki chrześcijańskiej i własnej gołębiej swej duszy. Ocknąwszy się z namiętności swej, jak ze snu męczącego, stanie się napowrót zwykłym filistrem, którego uchroni nadal od zguby pieczołowitość troskliwej, kochającej, a nadewszystko niezmiernie dobrej westalki domowego ogniska. Córeczka Ireny, Helunia, zyska najwięcej, straciwszy bowiem matkę histeryczkę, która nie dbała o nią nigdy, zdobędzie opiekunkę anioła. Jadwiga przygarnie ją do siebie, otoczy ją sercem i pieszczotą, pokieruje nią rozumnie.

„froterowicze“ na opinię większości, która na balach nie bywa, a więc nie może skorzystać z nich dla przyszłej karyery.

„Fałszując fakty i cyfry“ mówi autor broszury „użyli płaszczyka patryotyzmu i dobra powszechnego.“ To znaczy, przekonali ogół, że bale przynoszą więcej, niż nowy sposób zbierania składek. Znowu więc ten sam motyw utylitarny połączony z ulubioną zasadą objawiania patryotyzmu w tańcach.

Smutne to są objawy: jak mamy się dziwić egoizmowi naszej inteligencyi braku w niej szerszego pojmowania zagadnień życiowych, zamykania się w błędnem kółku dogadzania coraz to rosnącym w miarę zaspokojenia zachciankom sybarytyzmu ciała i ducha, skoro ta warstwa, z której formuje się z czasem inteligencya kraju, stoczona jest w kwiecie wieku przez utylitaryzm i materyalizm etyczny. Nie traćmy jednak otuchy i najgorsze jest przejściem ku lepszemu; gdy jakaś wielkość dochodzi do swego minimum, to znak, że niebawem zacznie wzrastać. Miejmy nadzieję, że i to obniżenie poziomu uczuć obywatelskich wśród młodzieży uniwersyteckiej jest tylko minimum, od którego zacznie się jego podniesienie.

Jedną z plag naszej inteligencyi, zwiększających w znacznej mierze ciężar i bez tego trudny do zniesienia, jest tchórzliwość i niechęć do wszelkich protestów wobec ucisku, a nawet jawnego bezprawia. Bezmyślna ta bierność, posuwająca się często do ustępstw, których jeszcze nie wymagają, a przynajmniej żądają tak nieśmiało, że najmniejszy opór wystarczyłby do cofnięcia wymagań, jest wynikiem polityki „pracy organicznej,“ a po części jej źródłem — o ile wszelkie usposobienie odbija się w wytworzonej pod jego wpływem filozofii. Otóż tego tchórzliwego usposobienia nie wykazuje młodzież uniwersytecka, a przynajmniej wykazuje je w nierównie mniejszym stopniu niż ogół inteligencyi. Dowodem tego niedawne rozruchy spowodowane odmową rektora wydalić na żądanie kolegów jednego ze studentów, któremu dowiedziono kilku szachrajstw.

Cały niemal uniwersytet zebrał się, aby poprzeć to żądanie najbliższych kolegów kursu oskarżonego, a ponieważ rektor zachował się brutalnie, więc go przytem trochę poturbowano. Cała sprawa skończyła się pomyślnie wydaleniem młodzieńca, hańbiącego uniwersytet.

I w tem mamy dowód dwóch rzeczy: 1), że młodzieży nie brak solidarności ani stanowczości w odrzuceniu zgangrenowanych jednostek, skoro tylko zepsucie moralne nosi cechy dla wszystkich jawno i zrozumiałe, skoro idzie o uczynki bezwzględnie potępiane przez opinię ogółu. Brak tylko wyższego poczucia moralnego, brak wymagań, sięgających nad poziom przeciętnej filisterskiej etyki; 2), że skoro tylko mamy odwagę żądać, cel będzie osiągnięty, o ile naturalnie żądania nie przekroczą pewnej miary.

Z tem wszystkiem młodzież inteligentna tak samo odbiegła od swego przeznaczenia jak i cała inteligencya kraju, od tego przeznaczenia, którego nikt tak dobitnie, a tak pięknie nie wyśpiewał jak niezrównany wieszcz „Ody do młodości“

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj . . .

Ale wzlecieć nad poziomy może ten tylko, kto ma skrzydła, skrzydła ducha, na których unosi się on nad martwym światem w piękną krainę ułudy, aby z tych wyżyn okiem słońca przeniknąć ludzkości ogromy, by tam sięgnąć, gdzie wzrok nie sięga, złamać to, czego rozum nie złamie! . . .

O, bo

Młodości, orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię!

Tę orlą potęgę lotów, tę piorunową siłę ramienia daje młodości jedna osobliwość: że „kraina ułudy“ nie jest dla niej czczem marzeniem, jak dla sybaryty ducha, lecz ideałem prowadzącym do czynu.

Filister zachwyca się pięknemi uczuciami w książce, rozczula się nad cnotą bohaterów po-

Autor w sztuce swojej wprowadza nas na grunt, mocno już podminowany niesnaskami między mężem, karczemnym awanturnikiem, pijakiem, karciarzem i żoną histeryczką. Taka dobrana para nie mogła wytrwać długo w zgodzie, nawet pozornej. Karol i Irena kłócą się tedy wobec ludzi brutalnie, a tak niesforni są oboje, że słuchacz pyta ciągle, kto z nich bardziej winien i kto zawinił pierwszy: czy nałóg pijacki i brutalność Karola rozbudziły histeryę Ireny, czy też kaprysy, spazmy, nagłe dzikie napady wesołości nie w porę, wpłynęły na stopniowy rozwój złych instynktów Karola? — Irena, nie mogąc wytrzymać dłużej z mężem, ucieka od niego. Przyjmuje ją u siebie przyjaciółka, rajfurka, Lucyna, która w zamian za otrzymane od niej pieniądze, ułatwia jej schadzki z Kaźmierzem, mężem siostry Karola. W chwili najgoretszych uniesień Ireny przybywa mąż jej z dziadkiem i Helunią. Karol pragnie przebłagać żonę, którą kocha, za którą tęskni. Irena odpycha go wszakże, rzucając się w objęcia Kaźmierza i ujawniając tym sposobem miłość swoją dla niego. Rodecki wyzywa na pojedynek Ratyńskiego; ten ostatni, zabiwszy męża Ireny, zostaje aresztowany. Jadwiga z ust Ireny dowiaduje się o zdradzie Kaźmierza, chrześcijańska jej pokora nie pozwala wszakże na żal i nienawiść; po śmierci Karola staje sie opiekunką żony jego i dziecka, usiłuje nawrócić bezbożną Irenę, dla której już jednak niema ratunku, która w przystępie rozpaczy, rzuca się z okna trzeciego piętra, połączywszy przedtem Kaźmierza z Jadwigą.

Czego autor chciał dowieść? — pytają sprawozdawcy i publika. Czy, że kobieta, w zasadach religii wychowana nigdy nie puści się na takie bezdroża, jak ateuszka, której nikt nigdy modlić się nie uczył? — Trudno posądzać pana G. o podobne intencye. Wiadomo, czem staje się modlitwa histeryczek: ekstazą, w którą przy hałaśliwem swem życiu, przy ciągłych bójkach z mężem, nie byłaby mogła wpaść Irena. Pobożna, bohaterka Graybuera dłużej bezwątpienia walczyłaby ze sobą przed ostatecznym swym upadkiem, więcej siły znajdowałaby sama w sobie do usuwania złych pokus i awantur Karola: upadłaby jednak w końcu, gdyż tak stać się musiało. Po upadku dopiero religia mogła ją podnieść: w celi samotnej, pod wpływem pobożnej Jadwigi, Irena stać się mogła ascetką; takie zakończenie jednak, dobre w powieści, nieodpowiadałoby dramatowi, gdzie szalejąca przez trzy akty burza, musiała rozsypać się gromem w ostatnim, aby widz wyszedł z wrażeniem posępnem, dostrojonem do tonu poprzednich wrażeń.

Utrzymać nerwy słuchaczów, w ciągłem naprężeniu, wstrząsnąć nimi tak, iż długi czas drgają echem odebranych wrażeń — to jest w mocy wielkiego talentu jedynie. Pan Graybuer posiada go: przyznają mu to najsurowsi nawet i najgłośniej upadek Ireny na scenie wróżący krytycy.

Cecylja Walewska.

Polka w ciągu bieżącego stulecia.

(Nasze prababki.)

Koniec ośmnastego wieku był dla Europy i dla nas chwilą ważnego przełomu i niewątpliwie w dziejach powszechnych początek nowej ery stanowić będzie. Przełom ten wytworzył nietylko nowe obyczaje, pojęcia i dążenia, ale wprost nowych ludzi, a jeżeli powiedzieć to można w odniesieniu do każdego z europejskich społeczeństw, to ileż więcej zmian dostrzedz się daje w naszem, które z jednej strony ogólnemu prądowi cywilizacyjnemu ulegać musiało, z drugiej tak nagły przewrót w swych miejscowych przeżyło stosunkach. Nic dziwnego, że te podwójne wpływy na charakterze naszym narodowym silne wycisnęły piętno, że we współczesnym Polaku zaledwie bardzo głęboka analiza odkryć by zdołała ślady dziedziczności i znamiona pokrewieństwa z ową rubaszną, wesołą, zamaszystą i hardą drużyną jego przodków. Życie nasze w całkiem odmiennych upływa warunkach, więc też uczucia nasze i myśli zupełnie innym toczą się biegiem, jeżeli zaś ojcowie nasi i bracia wiele cech tradycyjnych przez przystosowywanie się do nowych warunków zatracili, to nic dziwnego, że ich córki i siostry również daleko odbiegły od wzorów ich prababek i z dawnej zepchnięte ścieżki nową dla siebie utorować musiały. Torowały ją też pracowicie i wytrwale: znajdowały się zawsze między rodaczkami naszemi energiczne pionierki postępu, pod których kierunkiem całe pokolenie młodych Polek wzrastało i dojrzewało, myślało i czuło przechodząc przez różne fazy coraz pełniejszego rozwoju. Zanim rozpatrzymy bliżej główne epoki postępu kobiet naszych w ciągu ubiegłego stulecia, zwróćmy choć na chwilę wzrok na punkt wyjścia owego ruchu, krótko mówiąc zastanówmy się nad tem, czem właściwie były nasze prababki.

Co do tej kwestyi — wbrew wszelkim pamiętnikom i dokumentom z dawnych czasów — różne fantastyczne i wprost błędne panują jeszcze mniemania: pisarze konserwatywni wszelkich epok chcąc nas odwrócić od szukania dróg nowych, — niebezpiecznych ich zdaniem, radzili nam zawsze trzymać się starych tradycyj i kreślili typy dawnych matron polskich wprost z fantazyi czerpiąc rysy do tych archaicznych portretów. Główną ich cechą stanowiła najzupełniejsza bierność, słodycz, rezygnacya, uległość, posłuszeństwo, słowem, cnoty negatywne na całkowitem zatraceniu własnej indywidualności oparte. Choćby tysiączne pisane autentyczne dokumenty nie obalały wiary w tę ulubioną, a mityczną postać prababki, to i tak wątpić by można o jej prawdopodobieństwie. Czyż córy rycerskich rodów, kobiety, w których żyłach płynęła przecież owa burzliwa krew zapalczywej i hałaśliwej szlachty, których ojcowie i bracia na to tylko szablę z rąk wypuszczali, aby za kielich chwytać, mogły być istotnie milczącymi cieniami, cichemi istotami bez woli i bez znaczenia? Tak być nie mogło i tak też, naturalnie, nie było. W społeczeństwie, w którem mężczyźni wszyscy wojennemu rzemiosłu i sprawom publicznym oddani byli, spadał na kobietę ciężar bardzo rozległych obowiązków, bardzo ważnych prac, a do wykonania ich głównym warunkiem była niespożyta energia i hart męzki. Pamiętajmy, że każdy dwór wiejski był ważnem wówczas ogniskiem produkcyi, że gospodarstwo ówczesne znacznie więcej niż dzisiaj obejmowało gałęzi, że zaliczała się do niego fabrykacya tysiąca przedmiotów codziennego użytku, które obecnie z miast sprowadzamy: tkanin, narzędzi rolniczych, wyrobów szmuklerskich, mydła, świec, sprzętów domowych, nie mówiąc już nawet o żywności i napojach, że do wykonywania tych prac bardzo wielu rąk było potrzeba, a nad niemi wszystkiemi wobec ciągłej prawie nieobecności męża dozór utrzymywała kobieta. Zarząd gospodarstwa męzkiego najczęściej na jej spoczywał głowie, a od niego nieodłącznym był wówczas i wymiar sprawiedliwości. Mdłe białogłowy i od tego nie uchylały się obowiązku, a uczciwość kobieca nie wzbraniała im wymierzać tak srogich kar jak kańczug, koza, zamknięcia o chlebie i wodzie itp. To też poddani nie odczuwali tego bynajmniej, że nimi słaba, niewieścia rządzi ręka. Wobec takiego ustroju społeczeństwa, choć obyczajem staropolskim kobiety uczyły się zarówno słuchać jak rozkazywać, śmiało wnosić można, że w tem ostatniem bez porównania więcej miały wprawy. Mąż i pan gdy z wyprawy wojennej lub służby publicznej do domu powracał, zastawał tam już ustalone, zwyczajem zatwierdzone rządy białogłowskie i w większości wypadków zapewne wolał je sankcyonować niż niepotrzebną interwencyą mieszać zwykły porządek. Żyjąc wśród takich warunków matrony polskie wyrabiały w sobie wiele cech męzkich, wiele hartu, energii, odwagi, despotyzmu, a na ogólną nazwę płci słabej nie zasługiwały bynajmniej. Jeśli wdowieństwo bar-

---

wieści, ale ani ocenić tych uczuć i tej cnoty w życiu nie potrafi, ani tem mniej naśladować ich nie myśli. Młodzież nie zdążyła jeszcze sobie wyrobić takiej ścisłej granicy* pomiędzy teoryą, a praktyką, takiej „podwójnej buchhalteryi," jak wyraził się w innych okolicznościach i mniej właściwie pewien autor niemiecki.

Co dobre jest w teoryi powinno być dobre w praktyce, bo cóż to za teorya, która jest poprawną tylko na papierze? Co uczciwe i zacne w książce, nie może być innem w życiu.

Ta całostkowość natury, sądzę, tak samo cechuje dzisiejszą młodzież jak i wczorajszą; brak jej tylko owych ideałów, które nas zagrzewały, owych „książek," z których pokolenia z przed 10—15 lat brały swój pokarm duchowy; brak chęci do tego wszystkiego — bo młodzież jest przedewszystkiem odbiciem nastroju, przeważającego wśród starszej inteligencyi — może żywszem, bardziej jaskrawem — ale zawsze tylko odbiciem. Ażeby stworzyć coś oryginalnego w dwudziestym roku, trzeba być autorem: „Zbójców," „Wertera" lub „Konrada Walenroda."

Jeśli więc chcemy mieć lepszą młodzież, ukażmy jej lepszą drogę, zachęćmy ją do prawdziwej poezyi, poezyi wielkich ideałów i uczuć bohaterskich, wskażmy źródła głębszej filozofii życiowej, niż ta, która kursuje obecnie, odsłońmy widoki lepszej przyszłości, ideały nowego społeczeństwa, a wtedy zawołajmy:

Hej, ramię do ramienia! Wspólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy! . .

I

Dalej z posad bryło świata!

* *

W godzinę po odesłaniu ostatniego listu dowiedziałem się o manifestacyi, w której spory udział brała młodzież uniwersytecka, z powodu setnej rocznicy powstania Warszawy pod dowództwem Kilińskiego. Już od kilku dni podobno kursowały odezwy wzywające na dzień dzisiejszy do katedry św. Jana, gdzie miało być nabożeństwo pamiątkowe. Jakoż katedra była pełna; musiało więc być przeszło dwa tysiące osób; przytem bardzo wiele spóźnionych przychodziło gromadkami przez cały ranek.

Po skończonem nabożeństwie tłum kilkusetny, w znacznej części złożony ze studentów, przeszedł manifestacyjnie ulicami starego miasta na Dunaj, gdzie przed kamienicą nr. 5., niegdyś przez Kilińskiego zamieszkałą wszyscy mężczyźni pozdejmowali czapki. Ludność okoliczna zbiegła się na ten widok zapełniając wązką uliczkę. Tymczasem przybyła policya i odepchnąwszy część tłumu otoczyła, resztę wyławiając, przeważnie studenckie mundury. Aresztowano do 150 studentów, kilkadziesiąt pań i mężczyzn cywilnych, w tej liczbie znaczną gromadkę rzemieślników i kilku literatów. Innym studentom pozabierano matrykuły. Przez cały dzień można było spotkać gromadki ludzi, idących na Dunaj, również jak i gromadki aresztowanych, rozprowadzanych po cyrkułach pod konwojem policyi, zkąd po zanotowaniu nazwisk i adresów poodsyłano ich do domów.

Manifestacya ta wywołała niezwykłe ożywienie, zwłaszcza w dzielnicy staromiejskiej. Rzemieślników i wąsali starego miasta musiał wzruszyć ten objaw czci ze strony inteligentnej młodzieży i pięknych pań dla pamięci sławnego szewca. To też przytaczają urywki rozmów w rodzaju następującej:

— Co to jest? pyta się jakaś kumoszka podczas pochodu.

— Sto lat jak szewcy warszawscy wyrznęli Moskali, odpowiada z dumą kręcąc wąsa stary cechowiec.

Dalsze szczegóły w następnym liście.

Dzwo i.

dzo częste w epoce walk ciągłych postawiło którą z nich na stanowisku zupełnie prawie samodzielnem, to nietylko doskonale dawała sobie radę, ale niejednokrotnie zapalczywością, zawziętością, wygórowaną ambicyą i rycerskim animuszem zdumiewała płeć brzydką. Już to chciwość grosza większą była u kobiet do gospodarowania nawykłych, niż u mężczyzn szablą dorabiających się znaczenia. Kroniki zapisały mnóstwo faktów, w których kobiety fortunę mężowską z długów oczyszczały i do niebywałego doprowadzały splendoru, choć przyznać należy, że niekiedy całkiem osobliwemi dochodziły do tego celu drogami. Tak np.: sławna p. Zofia Chodkiewiczowa nie pieniędzmi lecz szablą uspakajała wierzycieli i posiadłości ich z dymem puszczała; inne znów ratowały się pieniactwem; całe sąsiedztwo wodziły przed trybunały sypiąc pozwy, repliki, dupliki jak z rękawa. W różnych okolicach Polski różne ów animusz niewieści przybierał formy — wreszcie pod wpływem wieku stopniowo się przekształcał, — co do jednego tylko wątpliwości mieć nie można, to jest, że cicha rezygnacya jak teraz tak i dawniej tylko wyjątkowych natur była udziałem, a tkliwość serca bynajmniej do rysów charakterystycznych dawnej Polki nie należała. Wybaczcie mi, panowie stworzenia, ale wnosząc z wielu historycznych lub niehistorycznych faktów, dochodzę do przekonania, że owa słowiańska miękkość i rzewność daleko częściej spotykać się dawała u nas między płcią brzydką niż między ozdobami rodzaju ludzkiego.

Znane powszechnie historyczne fakta, jeśli na widownię dziejów wyprowadzają kobiety, to nigdy nie przedstawiają takowych w roli czułych heroin romansów, działających pod wpływem uczucia; nie zapisała nawet u nas historya imion sławnych piękności, któreby samymi wdziękami swymi spustoszenia w sercach męzkich czyniły. — Taka Barbara Radziwiłłówna przez sentymentalnych poetów 18 i 19 wieku na smętną przekształcona ofiarę, była właściwie kobietą ambitną i chciwa władzy, a jeśli królewski jej małżonek dla niej korony zrzec się był gotowy, to nie ma najmniejszej wątpliwości, że ona dla niego nigdy do takiej nie byłaby zdolną ofiary. Wojewodzianka Mniszchówna, gotowa rzucić się na szyję każdemu samozwańcowi byleby jéj drogę do carskiego utorował tronu, to dzisiaj typ niewiasty, której serce do żadnej karyery nie byłoby się stało zawadą. Nawet w czynach bohaterskich niewiast naszych pierwiastek uczuciowy małą odegrywał rolę: cnoty ich były raczej spartańskiemi niż klasztornemi cnotami, a i zabawy ich niekiedy rycerski przybierały charakter. Znając rysy charakterystyczne dawnych Polaków i Polek wnosić można z pewnem prawdopodobieństwem, że poddaństwo kobiet było w 90 wypadkach na sto tylko prawną fikcyą, a niejeden mąż waleczny na podobieństwo typowego króla Sobka, choć gromił na kresach Turki i Tatary, w domu sromotne ponosił porażki.

Z nastaniem cudzoziemskich obyczajów nastąpiło to, co, jeśli można, nazwę zniewieściałością polskiej kobiety. Wraz z kunsztownemi fryzurami, bielidłem, różem francuszczyzną, pasterskimi romansami, hiszpańską gitarą — wkradł się między dawne białogłowy sentymentalizm nadmierny i rozstrój nerwowy. Moda ta wzmagała się, szła crescendo począwszy od „waporów“ o których mówi Drużbacka do „spazmów modnych“ Bogusławskiego, od sielanek miłosnych do nowej Heloizy, — od Filonów czułych do „domyślności serca“ pogrążając nasze kobiety w morzu łez, falach westchnień i stosach pamiątek. Epoka rycerska naszych dziejów miała mężne i rządne białogłowy, piękne fryzowane damy były towarzyszkami naszych pradziadów z doby hulaszczej i pijackiej. Epoka ta dziwnie długo trwała i nam poważnym dzieciom 19 wieku trudno dziś zrozumieć zkąd przodkowie nasi czerpali humor niezrównany, który pozwalał im hulać i tańcować we wszelkich warunkach, czasach i okolicznościach. My, nie umielibyśmy tego, jak nie umielibyśmy godzin całych trawić przed zwierciadłem czekając aż fryzyer ustawi nam na głowie cały las spiętrzony, a w nim scenę polowania na sarny, jak nie umielibyśmy tańczyć na końcach palców menueta lub zachwycać wdzięcznymi piruetami „entre chat“ lub „pas de pigeon.“ Ale gdy cała Polska wesoło się zabawiała więc i nie dziw, że nasze prababki do zabawy głównie kształcono. Po francuzku mówiły płynnie i lepszym niżeli my akcentem, pisały zgrabne francuzkie liściki i pamiętniki pełne miłych sentymentów, gracyi miały wiele więcej niżich niewykwintne prawnuczki, fryzowały się staranniej, mocniej ściskały sznurówkami i wiele częściej mdlały. Przedewszystkiem zaś bawiły się, bawiły po królewsku. Bale, asamble i reduty trwały nieustannie, przed rozbiorami, po rozbiorach, w czasie rozbiorów. Bale i asamble za legionów, za Ks. Warszawskiego — a kiedy jeden regiment wojaków napoleońskich krwią swą pola bitwy zalewał — prababki nasze już z drugim nadciągającym tańcowały regimentem. A wśród tego iluż czułemi wspomnieniami zapełniały się francuzkie pamiętniki, — ilu cennymi przedmiotami skarbnice pamiątek! Była to bowiem klasyczna epoka pamiątek i dzienników, ale i westchnień, świątyń przyjaźni, ołtarzy miłości. Przyznać należy, że pamiętniki wówczas ciekawszymi być mogły niż obecnie, kiedy tak prozaicznym, tak monotonnym trybem płynie życie ludzi pracy zaprzężonych u codziennej taczki obowiązków. — Wtedy nietylko w książkach spotykano romantyczne przygody, życie nastręczało ich wiele więcej, a prababki nasze miały bardzo często sposobność występowania w roli czułych heroin romansów. Dość zajrzeć w kronikę jakiejkolwiek rodziny w owej epoce, by po prostu zostać oszołomionym ogromną gmatwaniną wypadków dziś mniej zwykłych, rozwodów, wykradań, podwójnych i potrójnych małżeństw, związków powstających i rozrywających się tak szybko jak pary w kole mazurowem. Nawet młodziutka panienka umiejąca w salonie skromnie buzię w „pommé“ a ręce w małdrzyk składać, nagle czyniła swym rodzicom zdumiewającą niespodziankę, gdy pewnego pięknego poranku ani nadobnej córy — ani jej manatków pod dachem rodzicielskim nie znaleźli. Bardzo często trafiało się, że konkurent niemający wiele szans w oczach rodziców przekupywał służbę i guwernantkę i w sekrecie na panieńskich pokojach bywając razem ze swą lubą plan awanturniczej układał ucieczki. Wśród pustoty i lekkomyślności ogólnej, wśród płytkiego sentymentalizmu i szablonowej uczuciowości pięknie odbijają postacie znanych, zasłużonych Polek o głębszym nastroju i poważniejszym kierunku. Były to jednak postacie wyjątkowe, ogół kobiet tonął w wirze zabaw, w falach sztucznej uczuciowości, która była po prostu modnym strojem tak podnoszącym piękność jak toaleta „empire“ lub fryzura à la „Titus.“ Uczciwość ta nie przeszkadzała bynajmniej dzieci na wieś na mamki oddawać, nie przeszkadzała też pilnie chodzić koło własnych interesów i wszelkimi fortelami do zdobycia wyższego stanowiska lub większej fortuny się posługiwać. Piękna pani sędzina W. zanim trzeciemu mężowi swemu przed ołtarzem miłości czułe uczyni wyznanie, wydzierżawia wszystkie swe folwarki z góry na lat 20, a otrzymane pieniądze skrzętnie ukrywa nie chcąc ani grosza ze swej olbrzymiej fortuny lubemu dać do ręki. Przykładów takich znaleźćby można i więcej, a echa epoki sentymentalnej odzywają się jeszcze tu i owdzie w charakterach Mickiewiczowskich bohaterek. Taka Talimena w świątyni dumania układająca plany na zdobycie dobrej partyi, to niewątpliwie postać z życia wzięta i na rzeczywistości wzorowana. Wreszcie cała generacya „marnych puchów“ tak czułych, tak łacno dotkliwych, owe Maryle i Ewunie flirtujące z poetą, a za bogatych wychodzące hrabiów, toć to w prostej linii potomstwo naszych pełnych smętnego wdzięku prababek. Powoli jednak trzeźwiały umysły, cichły zabawy, a smutna rzeczywistość, ciężkie kajdany lecząc urojone smutki do głębokiego, szczerego pobudzały żalu. Westchnienia i skargi coraz pełniejszym, głębszym brzmiały tonem, smętne kwilenie przeszło w hymn bolesny na strunach naszych wielkich poetów, w hymn żalu, pokuty, niekiedy rozpaczy i goryczy pełny. W tej porze ocknęła się i Polka z wiekowego obłędu, porzuciła cudzoziemski język i obyczaj i zabrała się do pracy. — Runęły świątynie przyjaźni, ołtarze miłości — rozsypały się pamiątki, ucichły hiszpańskie gitary — a zamiast ossyanicznych skarg i kwileń miłosnych z ust kobiety właśnie padł dawno zapomniany wyraz „obowiązek.“

J. Moszczeńska.

NA WYŁOMIE.

(Jeszcze o kobietach.)

Biedny Sulla! Przeczucia go nie omyliły, pół tuzina anonimów popsuło mu apetyt przy śniadaniu, a dwie śmielsze Wielkopolanki zmyły mu głowę w dziennikarskich łaźniach. I gdyby jeszcze z pomocą szlachetniejszego płynu zabrały się do tej operacyi, — ale was, moje oponentki, stać tylko na — wodę!! W anonimach woda ta mętna jak pomyje i czuć ją z daleka, — w artykułach „Gońca“ i „Dziennika“ starannie przefiltrowana, lecz w filtrach niestety pozostała prawda, objektywizm i dowcip.

Tobie anonimowa „Kleopatro“, która w hołdzie oddanym warszawskim patryotkom upatrujesz jedynie pogoń Sulli za piękną Sullową, życzę szczerze, abyś nareszcie znalazła Antoniusza swojego. Wtedy może boleć przestaniesz nad czarną niewdzięcznością Sullów, z których żaden w tobie swojej Sullowej nie uznał. Jeżeli zaś niebo nie pobłogosławi życzeniu mojemu, to śladem wnuczki Faraonów kup sobie żmiję w poznańskiem akwarjum i przytuliwszy ją do rozdartego serca, idź gdzieś w tajemniczych zaświatach szukać oblubieńca. Wam anonimowe siostrzyce „Kleopatry“ — żółciowa Izo, Teodoro i Z. F. nic innego powiedzieć nie mogę. Śpiewacie wszystkie na tę samą nutę, a języka bezimiennej korespondencyi zapożyczacie czasem w ciemnych suterynach.

Zarzutu tego nie ciskam w oczy dwom Wielkopolankom z „Gońca“ i „Dziennika“, ale oświadczam z wszelką stanowczością, że jedna i druga maskuje rozmyślnie, lub nieświadomie istotny stan rzeczy. Gdyby rozgoryczone przeciwniczki krzyknęły mi nad uchem w grzmiącym artykule, że każda reguła ma swoje wyjątki, a one same wśród tych wyjątków zaszczytne miejsce zajmują, wtedy uchyliłbym czoła z najwyższą czcią i szacunkiem, wołając w zachwycie: All right! O wyjątkach nie wątpiłem nigdy i błogosławię każdą Wielkopolankę, która patryotyzmem swoim, energią i wytrwałością, ponad tłum gnuśny wyrasta.

Jeżeli jednak oświadczacie, Wielkopolanki moje, że siostrom waszym nic zarzucić nie można, że Wielkopolska to kraj najwyższego poczucia obowiązku, a niewiasty prawdziwe świeczniki społeczne, jeżeli filigranowe cacka kobiece tylko w muzealnych znajdujecie „serwantkach“, to mnie okrzyk ciśnie się na usta: „Münchhausen! keine Jagdgeschichten!“ Wiem o tem, że kobietom wrodzony jest wstręt do ścisłych obliczeń statystycznych, ale jeżeli pragniecie wyjść zwycięzko z rozprawy, to gwałt zadać musicie naturze waszej. Protest bezliczbowy to dym obrażonej próżności — zamiast Liberum veto niechaj cyfry przemówią. Nie żądam dokładnych rachunków, ale rozpatrzcie chociaż pobieżnie stosunki poznańskie, zasięgnijcie informacyi po miastach, miasteczkach i wsiach zaboru pruskiego, a zgromadziwszy w przybliżeniu prawdziwy materyał statystyczny, odważcie się po raz drugi rzucić mi rękawicę. Tu nie wystarcza powiedzieć, że Józia, Fruzia i Basia spełniają obowiązki swoje, a zatem: górą Wielkopolanki! — tu obowiązkiem waszym wykazać, że istotnie znaczny procent świata kobiecego na całym obszarze prowincyi naszych odznacza się energią patryotyzmu i patryotycznym poświęceniem. Trzy pytania stawiam w kwestyonaryuszu moim: 1) Ile kółek rodzinnych powstało, gdy język ojczysty z szkół rodzinnych wyparto? 2) Jak długo kółka poszczególne istniały, oraz ile kółek żyło jeszcze w dniu 1 kwietnia bieżącego roku? 3) Ile dzieci pozbawionych nauki języka

ojczystego kształciło się pod opieką kółek rodzinnych w chwili zaprowadzenia nauki prywatnej w budynkach szkolnych, oraz ile z nich znajdowało się jeszcze pod opieką pań naszych w chwili pojawienia się „Przeglądu Pozn.“

Rzucając wam, piękne przeciwniczki, słowo ostrej krytyki i żalu nie czerpałem z fantazyi oskarżeń, lecz z dokładnych obserwacyi i porównań bicz na was uwiłem. Dla uważnego czytelnika „Gońcowy“ artykuł jest jaskrawym dowodem, że pudrem protestu przysypano tu szkarłatny rumieniec. Wielkopolanka z Piekar szamoce się, miota i lamentuje, ale w końcu wśród tych konwulsyjnych podrygów wypada szydło i zdumiony słuchacz dowiaduje się, że 1) kongresowe kobiety odznaczają się „staranniejszą pracą nad rozwojem umysłu swojego“, 2) że jest w nich „większy nieco zasob energii i samodzielności“, 3) że zdobi je większa „odwaga wypowiedzenia własnych przekonań.“

Cześć ci za tę szczerość Wielkopolanko „Gońcowa“, a w dowód hołdu mojego gotów jestem w przyszłości zamiast pamiętnych słów Rzymianina „Uderz, ale słuchaj“ powiedzieć z słodkim uśmiechem: „Racz musnąć mnie dłonią bieluchną, ale łaskawego posłuchu udziel słudze twojemu.“ Wtedy może przestaniesz mruczeć zgryźliwie, że wobec dam używam „podoficerskiej komendy“ i zapiszesz mnie życzliwie w poczet delikatnych galanterników.

Mniej sumienną w poglądach swoich jest „Dziennikowa“ Wielkopolanka, która Warszawiankom przyznaje tylko talent „rozprawiania“, a charakteryzując cały zabór pruski jako panteon bohaterek, z dumą świegocze, że u nas żadna Polka nie przysięga Niemcowi na ślubnym kobiercu. Cisną mi się na usta słowa krwawego sarkazmu, bo jeżeli takie objawy Polka p o d n o s i d o p o z i o m u z a s ł u g i, jeżeli takie atuta wygrywa przeciw młodzieży, c h l u b i ą c i s z c z y c ą c s i ę n i e m i p u b l i c z n i e, to duszę polską gorycz ogarnąć musi „Znam takich, którzy kradną, a ja z dumą oświadczam, że nikogo nie okradłam jeszcze“, — oto podobizna argumentacyi pięknej przeciwniczki, której nadomiar zwracam uwagę, że w naszych warunkach społeczno-politycznych i towarzyskich nie można połączyć znakiem równania małżeństwa Polaka z Niemką lub żydówką i małżeństwa Polki z Niemcem lub żydem. Obcem mi jest francuzkie „tout pardonner“ w jednym i drugim wypadku, lecz opierając się na ścisłej logice i znajomości stosunków, identyczności przyznać tu nie mogę, a poważnie rozpatrując sprawę inną znajduję odpowiedź na pytanie, dla czego ilość małżeństw zawieranych między Polakami a Niemkami jest większą niż stosunek odwrotny. Kwestyę powyższą wyjaśnię w jednym z najbliższych numerów, — w tej chwili bowiem otrzymuję świeży numer „Dziennika Pozn.“, a w nim trzecią wanienkę „wody“ z firmą Halina. Lubię to imię i żal mi nieco, że taką etykietę przylepiono na zwitku banalności, dla których charakterystyki wystarcza stare przysłowie o gruszczce, i pietruszce. Wszystkie trzy oponentki moje z „Gońca“ i „Dziennika“ powtarzają zgodnie charakterystyczne refrain: Znamy kobiety inteligentne, znamy Wielkopolanki energiczne, znamy niewiasty z poświęceniem — przytem plotą jak na mękach o wygórowanych pretensyach do inteligencyi kobiecej, o młodzieńczej zarozumiałości i tej niewdzięcznej płci brzydkiej, która lalkę woli od rozumnej kobiety. Jeżeli istotnie, Halino najmilsza, w rozmowach swoich z młodzieżą popisujesz się tak zdumiewającą ścisłością i takie zachwycające wnioski z słów interlokutorów swoich wyciągasz, to nie dziwię się wcale, że „zbywając banalną odpowiedzią“ tę mądrość fałszywej Aspazyi, gruchają z tobą jak z lalką salonową o toaletach „empire“ i karnawałowych ploteczkach. Policzcie, Wielkopolanki, moje te bohaterki wasze, a jeżeli poskromić zdołacie obrażoną próżność autorską, szepniecie niezawodnie: Pater peccavi! Co do mnie, to nie zaprzeczam bynajmniej, że szlachetne kobiety czynu istnieją i na naszej ziemi, ale jest ich nie wiele, jest ich s t o s u n k o w o znacznie mniejsza ilość niż tam, gdzie cytadela grozi i Sybir. Jeżeli zaś dla scharakteryzowania ruchliwości umysłowej kongresowych sióstr naszych, wspomniałem warszawskie pensyonarki, dysputujące o M i l l u i S p e n c e r z e, to chyba nielogiczne salto mortale ztąd wysnuć, może twierdzenie, że e r u d y t k a m i i sawantkami zaludnić pragnę wielkopolską ziemię... A jednak, mimo całego wstrętu do niebieskich pończoszek wolałbym oddać się na pastwę ich popisowej erudycyi, niż dłużej wojować z luźną zbieraniną wszystkich wykrzykników i pytajników Haliny. Prawda! Jestem niegrzeczny, i miodowych słówek z ust mych nie wyrzucam, ale nauczył mnie stary Göthe pięknego wierszyka;

Greif niemals in ein Wespennest,
Doch wenn du greifst, so greife fest.

BADANIA NAUKOWE.

ROZWÓJ I MORALNOŚĆ.

Huxley jest naturą wysoce sympatyczną, bez względu na głoszone przezeń poglądy i bronione tezy. Pierwszorzędnej wartości specyalista-biolog, nie wyodrębnił się od reszty świata murem obojętności i mandaryńskiej pogardy dla różnych zagadnień codziennego życia społecznego, jak to zbyt często czynią jego koledzy, sądząc, że podobnym czynem splamiliby wielkość swojego imienia. Z dziwną odwagą podnosi on najrozmaitsze kwestye: walczy z różnymi kierunkami filozoficznymi, docieka rodowodu mytów biblijnych, buduje systemy etyczne, rzuca wyzwanie tym lub innym doktrynom społecznym, pozwala sobie niekiedy zajrzeć nawet do dziedziny estetyki. Kiedy przyglądam się jego tak różnobarwnej krzątaninie, myślę, że jest bardzo szczęśliwym człowiekiem — losy postawiły jego kolebkę w Anglii. Nasi rzecznicy cechowej zaściankowości oddawna ukamienowaliby go, nie za głoszone teorye, ale za to, że ośmiela się wychylać nos z swojej biologii i powiedzieć niekiedy coś trafniejszego, aniżeli ten lub ów specyalista, sądzący, że zagadnienia społeczne lub etyczne są jego nieodłącznym monopolem, od którego zdala winien się trzymać jakiś tam zoolog lub botanik. Rodacy Huxleya są widocznie innego zdania. Każda z jego prac publicystycznych posiada dar wywoływania długiej polemiki. Pamiętam takie, które ciągnęły się po roku na stronnicach miesięczników angielskich, np. o agnostycyzmie. A zasługi naukowe bynajmniej nie zasłaniały go od dotkliwych ciosów, w razie potrzeby nie żałowano pomyj na jego głowę. Wszelako nigdy nie słyszałem, aby zarzucano mu jego biologo - folkloro - socyologo - etyko - estetyczną wszechstronność. W polemice oceniano tylko wartość jego dowodów.

Huxley przed kilku miesiącami miał odczyt o wzajemnym stosunku ewolucyi do etyki, który wywołał całą powódź polemik i rozpraw*).

Zasadnicza teza jego wywodów jest następująca: O żadnym zakątku ogromów wszechświata nie mamy prawa powiedzieć, że istnieje on niezmiennie w tej samej formie. Przeciwnie, wszędzie rządzi materyą prawo zmienności, a to, co wydaje się nam spokojem, w gruncie rzeczy jest pozorem spokoju, pod którym ukrywa się jeno wolniejsze przekształcanie. Wszystko znajduje się w ruchu, który jest bez początku i końca, a który przechodząc z jednej postaci w inną, daje źródło wszelkim możliwym kształtom, jakie spostrzegamy w przyrodzie. Wśród tej zmienności i jako dziecię jej powstał byt gromadzki, a także społeczeństwo ludzkie. Na łonie znowu życia zbiorowego ukazały się pojęcia o postępowaniu moralnem. Społeczeństwo nie może istnieć bez umowy, żywiołowo a nieświadomie dokonanej, według której na poje- dyńczych członkach ciążą pewne zobowiązania. Dotrzymanie tych warunków życia zbiorowego wraz z wypływającym z nich podziałem nagród i kar stanowi podstawę pojęcia o sprawiedliwości. Samo to pojęcie w ciągu dziejów ludzkich doskonali się. Niegdyś probierzem był czyn, wzięty sam w sobie, bez względu na pobudki, rządzące jego wykonawcą. U ludów dzikich zarówno sprawca mordu celowego, jak i przypadkowego odpowiadają jednakowo: pierwotnej sprawiedliwości tylko wtedy stanie się zadość, kiedy zabójca, bez względu na pobudkę, która kierowała jego ręka, zapłaci swojem życiem za cudze. W miarę rozwoju cywilizacyi zamiast objektywnej, rzeczowej, występuje ocena podmiotowa. Zresztą nie idzie o to, czy pojęcie o czynie sprawiedliwym i moralnym jest mniej lub więcej doskonałem, lecz o to, że nigdy, prawy postępek nie łączył się z nagrodą. Codzienne doświadczenie wszystkich wieków powiada, że przestępcy, którzy zgrzeszyli przeciwko kodeksowi moralnemu, aż nazbyt często unikają zasłużonej kary, że zły człowiek porasta w pierze, wówczas, gdy cnotliwy zaledwie zdoła wyżywić siebie, że dzieci pokutują za grzechy ojców. Bezustanny rozwój wszechświata i nierównoległość nagrody za cnotę, kary za występek — oto fakty, które nietylko obecnej filozofii rzuciły się w oczy. Człowiek spostrzegł je oddawna i począł snuć teoryę celem wyjaśnienia jednego i drugiego. Teorya ewolucyjna jest arcystarą, a w niej zagadnienie etyczne o początku złego i dobrego, o tem, czy sumy szczęścia i cierpienia, nagrody i kary równoważą się, zawsze zajmowały przednie miejsce. Co więcej, doktryna ewolucyjna, ilekroć podnosiła kwestye takiej natury i usiłowała rozwiąże zagadnienia szczęścia, czyniła to zawsze na gruncie podobnej przeszłości. Wedy, zarówno jak epopeje Homera, snują przed naszą wyobraźnią życie potężne a bujne, pełne radości. Ludzie tamtejsi z jednakim spokojem stoją pod grzmotem i napawają się pocałunkami promieni słońca. Życie jest piękną rzeczą i człowiek pije je pełną czarą. Ale na miejscu barbarzyńskiej prostoty wyrasta wydelikacona cywilizacya, nerwy stają się nadmiernie wrażliwemi, cierpienie bywa odczuwane silnie. Wewnątrz duszy zasiadł wróg, który jątrzy rany moralne. Otóż na takim gruncie powstaje dociekanie rodowodu zła i sposobu zła i sposobów uniknięcia jego żądeł, rzucone na tło teoryi rozwoju. Z tego punktu rozpoczęła swoją działalność myśl filozoficzna Indyi Przedgangesowych, z podobnego stanowiska rozpoczęła swoją pielgrzymkę grecka filozofia, ażeby po długich manowcach dojść do tego samego ostatecznego wyniku: wreszcie na tę samą drogę wstępuje dzisiaj nasza filozofia, a różne szczegóły świadczą, że istnieje dążność wśród niej dotarcia do dawnych wniosków. Nie zawadzi przeto poznać się z krzyżową drogą dawnych myślicieli — historya przeszłości może w tym razie dać pożyteczną naukę dla teraźniejszości.

Tak brzmi teza, postawiona przez biologa angielskiego. Poznawszy ją przyjrzyjmy się w dalszym toku owej nauce, jaką otrzymaliśmy w spuściznie po zamierzchłej przeszłości.

K. Żywicki.

(Dokończenie nastąpi.)

*) E v o l u t i o n a n d E t h i c s, R. Matthews; E v o l u t i o n a r y E t h i c s, Leslie Stephen, E t h i c s a n d t h e S t r u g g l e f o r E x i s t e n c e i inne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika krakowska.

Kraków 17go kwietnia.

(Wybór posła do Rady Państwa. Orzeł kaplicy Zygmuntowskiej. Fundacya Helclów. Walne Zebranie Towarzystwa rolniczego. Drobne wiadomości.)

Polityk ujące nasze koła zainteresowane są obecnie wyborem posła do Rady państwa z większych posiadłości powiatów bocheńskiego, brzeskiego i wielickiego na miejsce opróżnione po Atanazym Beusem, zmarłym przed miesiącem prezesie Koła polskiego w Wiedniu. Jakkolwiekbądź wypadnie wybór, w każdym razie świadczyć on będzie o braku jedności w obozie konserwa-

tywnym i o prywacie odsuwającej na plan drugi nietylko dobro ogólne, ale i dobro własnego stronnictwa. Natychmiast po śmierci Beusego podniesiono myśl kandydatury prof. Józefa Milewskiego. Nie potrzebuję chyba rozwodzić się nad wybitnemi zdolnościami kandydata i nad jego kwalifikacyami. Zauważono to jednak już oddawna, że zdolności coraz mniej popłacają, a niecnoty wypływają na wierzch ich kosztem. Do ludzi imponujących zdolnościami czuje ogół jakiś wstręt wrodzony, właśnie dla tego, że imponują. Dobry sąsiad, „poczciwa dusza,“ człowiek nie mający swojego zdania, schlebiający każdemu, całujący się z dubeltówki w prawo i w lewo, ma zwykle pierwszeństwo we własnem stronnictwie i nie wywołuje gwałtownej opozycyi u stronnictwa przeciwnego — ludzie zaś zdolniejsi i wybitni, mają zazwyczaj odwagę wypowiadania swych przekonań, nie liżą się i nie łaszą, a stąd pozostają częstokroć na uboczu. Prof. Milewski był już raz kandydatem i to w chwili takiej, w której wszelka zawiść stronnicza powinna była wobec niego ustąpić. Jako uczony ekonomista, wezwany do narady nad sprawą walutową, zabłysnął tak swoją wiedzą i wymową, iż stał się bohaterem dnia w Wiedniu, pomimo, iż zapatrywania jego były wręcz przeciwne zapatrywaniom ministra skarbu Steinbacha i olbrzymiej większości finansistów niemieckich. Jego gorące wystąpienie przeciw walucie złotej szło w parze z życzeniami kraju, a nie ma chyba już dzisiaj nikogo, któryby nie widział po skutkach jak rozumnej i doniosłej sprawy był rzecznikiem prof. Milewski. Reforma waluty, przeprowadzona wbrew jego opinii, uczyniła zupełne fiasco, a zbogaciła jedynie żydowskich potentatów finansowych. I właśnie w chwili, kiedy sprawa walutowa miała być przedłożoną Radzie państwa, kiedy prof. Milewski mógł być jedyną siłą kompetentną w Kole polskiem i wpływem swym zaważyć na szali, zawakawało krzesło poselskie w Stanisławowie. Kandydatura prof. M. wyłoniła się z natury rzeczy i w pierwszej chwili zdawało się, że nie może być nawet mowy o innym kandydacie. Wszystkie najlepsze żywioły, tak konserwatywne jak i postępowe, połączyły się w popieraniu tej kandydatury; na ośm dzienników galicyjskich tylko dwa okazały ciasnotę swoich pojęć. Ale do tej ciasnoty przyłączyły się stosunki osobiste pana Hofmokla, radcy sądowego i przyłączyło się żydostwo. Prof. Milewski upadł ku radości finansistów wiedeńskich, a miejsce mu należne zajął p. Hofmokl, człowiek bez zdolności, bez wyrobionych przekonań, bez daru wymowy, jeden z największych dziś zer Koła polskiego, który niedawno skompromitował się nad wyraz nędznem śmiesznem i niedołężnem sprawozdaniem ze swej niedziałającej działalności.

Jeżeli jednak nie poszczęściło się p. Milewskiemu w Stanisławowie, to chyba nie ulegało wątpliwości, że kandydatura jego, postawiona obecnie pomiędzy „konserwatywną“ szlachtą, nie spotka się z żadnemi przeszkodami. Tymczasem stało się inaczej: zachciało się kandydować p. Zdzisławowi Włodkowi, człowiekowi zamożnemu i może bardzo dobrych chęci, ale, który nie dał się poznać dotychczas ze swoich zdolności, a miał czas i środki po temu. Wybór p. Włodka powiększyłby tylko w Kole polskiem grono tych, co podnoszą rękę do głosowania, zadowoleni, że reprezentują naród i że mogą dzięki tejże reprezentacyi zawiązać miłe ich sercu stosunki. Ale p. Włodek jest „nasz,“ jest „sąsiad“ ma wśród nas krewnych i „przyjaciół,“ gdzie tam mierzyć się z nim jakiemuś „profesorowi“ i do tego „obcemu,“ bo się urodził i wychował w Wielkopolsce. A więc poczciwa nasza szlachta, to „czoło narodu,“ aż w dwóch powiatach agituje za p. Włodkiem i trzeba będzie silnego wpływu „rządu krakowskiego,“ znajdującego się pod Baranami i na Szlaku, aby bracia szlachta przyszła do przekonania, że z dwóch kandydatów wybiera się lepszego. Za kilka dni ciekawość nasza zaspokojoną zostanie: dowiemy się, czy nasi konserwatyści pójdą, czy nie pójdą za przykładem żydków stanisławowskich.

Dobrze, że przynajmniej zaspokojono inną naszą ciekawość, a mianowicie co do orła na kaplicy Zygmuntowskiej, o którym wspominałem w zeszłej korespondencyi. Była jakaś komisya, która sprawdziła, że go nie przestrzelono, że ledwo tylko jakiś drut niegodziwy wywiercił w nim dziurę. Nie mam żadnej podstawy do twierdzenia, że było inaczej. Zresztą błogosławieni wierzący, a więc . . . bądźmy błogosławionymi.

Zapisy na cele filantropijne mają wielką doniosłość, bo pomnażają, że tak powiem fundusz żelazny społeczeństwa, zmniejszają przyszłym pokoleniom troskę o wiele potrzeb koniecznych, a nigdy dostatecznie nie zaspokojonych, są wreszcie wypełnieniem przykazań Bożych o miłosierdziu. Na nieszczęście wiele z tych zapisów traci swój cel i charakter wskutek niedokładnie określonej woli testatorów lub zbytecznej ich ufności w tych, co mają je w życie wprowadzić i opiekować się niemi.

Od dawnego czasu słychać było nieustannie narzekania na „Dom ubogich imienia Helclów.“ Zarzuty czynione były przez wszystkich, bez różnicy przekonań co mieli sposobność poznać gospodarkę tej instytucyi. Dopóki jednak nie wystąpiono z cyframi, nie wykazano otwarcie źródła złego, nie było obowiązkiem korespondentów sprawy tej poruszać. Ale kiedy wyszła ona na jaw, kiedy znalazła swe echo w dziennikarstwie, obowiązek nakazuje wstrzymać się od milczenia.

Fundacya Helclów posiada wspaniały gmach, w którym powinni znaleść pomieszczenie chorzy nieuleczalni i w takiej rzecz prosta liczbie, na jaką dozwala dochód wynoszący 65.000 rubli rocznie, a będący procentem od kapitału na ten cel przez fundatorkę pozostawionego. Otóż nieuleczalnych znajdujących się w zakładzie znajduje się zazwyczaj 40—60, a przypuściwszy, że koszt utrzymania każdego z nich wynosi 150 a nawet 175 złr. rocznie (nie wliczając w to ani służby, ani mieszkania), przeto wydatek na nich obliczać można rocznie co najwyżej na 7 do 10 tysięcy złr. Na co więc zużytkowaną jest nadwyżka 55—58 tysięcy złr.? Oto naprzód kosztuje stosunkowo bardzo wiele opieka i służba, a kosztuje dla tego wiele, że jest jej za wiele, składa się bowiem aż z 59 osób. Jestto zbytek bardzo kosztowny, ale choćby go obliczać nawet na 25 tysięcy złr. rocznie, to jeszcze pozostanie około 30 tysięcy funduszu niezużytkowanego. Należy jeszcze dodać, iż zarząd przyjmuje także zamożniejszych pensyonarzy, płacących dość znaczne stosunkowo kwoty, a zatem przynoszących czysty dochód. Wszystkie przytoczone cyfry wydatków są obliczone bezwarunkowo za wysoko: znający bliżej stosunki redukują je do połowy, ale powtarzając zarzuty, dociągnąłem sumę wydatków do maximum, aby odtrącić od siebie nawet pozór stronniczości. Zróbmy jeszcze małe porównanie: na utrzymanie 80 kalek w swoim zakładzie miejskim wydaje gmina miasta Krakowa 12.000 złr. Towarzystwo dobroczynności zaś na 150 starców i dzieci wydaje 26 tysięcy reńskich, wówczas kiedy zakład Helclów na 40 do 60 nieuleczalnych ma 65 tysięcy złr. Kuratorem zakładu jest wprawdzie wydział krajowy, ale zarząd, opierając się pono na pewnych punktach zapisu, rządzi absolutnie funduszami. Zarząd zaś ten składają: matka Karolina Juchel, francuska i ojciec Soubile, także francuz. Wszystkie pozostałe fundusze odsyłane są podobno do Paryża, do generalnego Towarzystwa św. Wincentego à Paulo. Dodać jeszcze mogę z czystem sumieniem, że znam fakta potwierdzające zarzuty „bezwzględności i niemiłosierdzia“ czynione zarządowi imienia Helclów.

W ubiegłym tygodniu odbywało się doroczne zebranie krakowskiego Towarzystwa rolniczego. W zebraniu brało udział kilkudziesięciu delegatów Towarzystw okręgowych. Przewodniczył mu hr. Jan Tarnowski, obok którego zasiadł ks. Adam Sapieha, prezes galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. Z przemówienia prezesa przebijała nadzieja, iż rok bieżący będzie dobrym dla rólników i że powiedzie się tegoroczna wystawa krajowa we Lwowie. Prócz tego wyraził prezes ubolewanie nad stanem ekonomicznym kraju, a zwłaszcza rólników, który to stan zaostrzyły jeszcze klęski ubiegłego roku. Ze sprawozdania przedłożonego przez sekretarza p. Lewieckiego dowiedzieli się zebrani o całorocznej czynności komitetu. Przygotowano do wprowadzenia w życie ustawę hodowlaną, posunięto naprzód ubezpieczenie zwierząt rozpłodowych krajowej rasy podgórskiej, pracowano nad podniesieniem racyonalnej uprawy i wyprawy lnu, wygotowano memoryał mający na celu położenie tamy oszustwom przy sprzedaży sztucznych nawozów, traktowano ze „Związkiem handlowym kółek rólniczych“ o przekształcenie go w „Związek handlowy Towarzystw i kółek rolniczych,“ brano udział w austryackim wiecu rolniczym odbytym w Wiedniu itd. Prócz tego znajdujemy w sprawozdaniu wykaz zabiegów komitetu o opuszczenie podatków i zasiłki dla dotkniętych klęską zeszłoroczną, a wreszcie ustęp tyczący się sprawy budowy kolei lokalnych. Zanim przystąpiono do dyskusyi nad sprawozdaniem komitetu, hr. Andrzej Potocki przedstawił działalność wystawowej komisyi Towarzystwa, zaprzeczając rozpuszczonym pogłoskom jakoby zachodnia część Galicyi przeciwną była wystawie. Wobec tego ks. Sapieha czuł się w obowiązku zaznaczyć, iż lubo było mniemanie o istniejącej w zachodniej Galicyi obojętności do wystawy lwowskiej, to przecież „poszło ono do grobu“ w obec widocznych, a gorliwych starań komitetu krakowskiego. Wystawę robi ogół wszystkich części dawnej Polski. Komitet wystawy nie rozszerza programu, owszem musi prawie hamować ogół społeczeństwa, który doprowadził do tego, że wystawa trzy razy większe przybierze rozmiary aniżeli projektowano. Po dyskusyi nad sprawozdaniem i kilku specyalnych sprawozdaniach i zamknięciach rachunkowych, dokonano nowych wyborów, z których wyszli między innymi jako prezes hr. Jan Tarnowski, a jako jego zastępcy pp. Maryan Dydyński i Stanisław Homolacs. Na popołudniowem tegoż dnia posiedzeniu przedłożył prof. Józef Milewski referat o włościach rentowych.

Jak wiadomo rząd projektuje ustawę tworzącą nowy sposób nabywania ziemi za obowiązek uiszczania długoletniej renty. Powołany do życia „Związek rolniczy“ będzie miał obowiązek licytować każdą posiadłość rólniczą do sumy szacunku własnego i przemieniać ją w razie nabycia na posiadłość rentową; prócz tego każdy właściciel gospodarstwa rolnego może żądać od „Związku“ przemiany jego posiadłości na rentową. Dla uzyskania środków pieniężnych ma być wypuszczona emisya listów rentowych, z poręczeniem procentu przez kraj lub państwo. Dalsze szczegółowe streszczanie projektu rządowego przechodziłoby ramy korespondencyi. Prof. Milewski wykazał liczne zalety, i liczne wady projektu. Pomijając je dla braku miejsca, przystąpmy do końcowych uwag referenta. Projektowana instytucya nie wiadomo dla czego ma być ograniczoną do ratowania zagrożonych jednostek, kiedy taka sama spełnia w Prusiech zarazem inne zadania. Dobrze obmyślana i dobrze wprowadzona w życie instytucya włości rentowych uchroniłaby wielu rólników od bankructwa, a zarazem położyłaby granicę nieracyonalnemu obdłużanin ziemi. Dalszemi skutkami byłyby: a) większa stałość bytu producentów, a stąd trwałość i wzrost produkcyi, b) regulacya ceny ziemi, gdyż anormalny jej wzrost grozi klęską, zwłaszcza w obec złotej waluty, c) ułatwienie melioracyi przez dostarczanie na nią kredytu rentowego. Najodpowiedniej zdałyby do celu pominięte w projekcie posiadłości rentowe średnich rozmiarów, które stałyby się pomostem między wielką a małą własnością, tak w produkcyi rolnej, jak i w pracy i życiu społecznem. W końcu postawił prof. Milewski następujący wniosek: Uznając potrzebę posiadłości rentowych Towarzystwo rólnicze krakowskie zastrzega konieczność licznych zmian w projekcie rządowym, a mianowicie, aby uszanowano kompetencyą sejmów, zastrzeżono wykonanie czynników krajowych i wreszcie aby uwzględniono przedewszystkiem stworzenie średniej własności na zasadzie rentowej. Wniosek ten został przyjęty jednomyślnie. Z kolei nastąpił referat dra Leo o projekcie rządowym do ustawy o stowarzyszeniach zawodowych rolniczych. Krakowskie Towarzystwo rólnicze już przed 15tu laty żądało przemiany dzisiejszych Towarzystw rolniczych na Izby rólnicze, z prawami takiemi, jakie posiadają Izby handlowo-przemysłowe. Projekt rządowy nie chce tymczasem dać takiej repre-

zentacyi rólnikom, jaką posiadają Izby handlowo-przemysłowe, a natomiast w każdym ze 180 powiatów sądowych galicyjskich pragnie stworzyć przymusowe stowarzyszenia, które miałyby pomagać jednostkom rólniczym w działalności prywatno-ekonomicznej. Ten system nadzoru publicznego nad produkcyą prywatną byłby reformą zbyt radykalną, a proponowana organizacya w naszych warunkach byłoby niedołężną i niepraktyczną, bo nie uwzględniałaby odmiennych stosunków kraju. Z tego powodu referent oświadczył się a) za koniecznością silnej organizacyi reprezentacyjnej dla rolników, przeprowadzanej w drodze ustawodawstwa krajowego, mogącego uwzględnić rzeczywiste stosunki i potrzeby kraju, b za spełnianiem zadań ściśle ekonomicznych (o ileby niemi nie pokierowały rzeczone instytucye) przez specyalne stowarzyszenia, dobrowolnie zakładane w miarę możności i potrzeby, pod opieką wspomnianych instytucyi rólniczych. Po dłuższej dyskusyi, w której z małym wyjątkiem prawie wszyscy mówcy przemawiali zgodnie z referatem dra Lea, wnioski jego przeszły znaczną większością. Przyjęto również wnioski okręgowego Towarzystwa wielickiego, tyczące się zmiany ustawy o sprzedaży soli bydlęcej, oraz wniosek włościanina Smagały, delegata Towarzystwa rzeszowskiego, wzywający rząd do czuwania nad demoralizującym włościan handlem domokrążnym. Obrady zakończono na podziękowaniach złożonych ks. Sapiesze, wszystkim uczestnikom i prezesowi hr. Tarnowskiemu.

„Związek literacki" obchodził w swem kółku w gronie gości zaproszonych jubileusz 25 letniej pracy dramatycznej Zygmunta Sarneckiego. — Szósty zjazd chirurgów polskich uchwalono odbyć we Lwowie w miesiącu Lipcu. — Doroczne uroczyste posiedzenie Akademii umiejętności odbędzie się dnia 5 Maja. — Stósownie do żądania rządu uchwaliła Rada miejska odstąpić mu bezpłatnie grunt pod budowę szkoły przemysłowej. — Sfery sądowe obchodziły 40 letni jubileusz p. Jasińskiego, prezydenta sądu krajowego w Krakowie, byłego posła do Sejmu i do Rady państwa. — Dobra Rabkę, wraz z zakładem kąpielowym, będące od niedawna własnością hr. Sobiesława Mierossowskiego, zamierza nabyć Fundacya Skarbkowska. — „Nowa Reforma" rozpoczęła druk powieści M. Bałuckiego „Zamki na lodzie." — Pan Łucyan Rydel, znany autor utworów poetycznych, otrzymał stopień dra praw na uniwersytecie Jagiellońskim — Hr. Władysławowi Zamoyskiemu, właścicielowi Zakopanego pozwolono rozpocząć badania trasy kolejowej z Chabówki do Zakopanego. — W Szczawnicy wytrysło źródło nafty.

K. Bartoszewicz.

Ze Ślązka Polskiego.

Kluczbork, 16go kwietnia.

Przewidzieć zbiorowy ruch ludu, danem jest tylko wybranym jednostkom, a ostatecznych skutków takiego parcia naprzód nikt obliczyć nie może. Pewne kombinacye i przypuszczenia — oto wszystko, na co jednostka w takim razie zdobyć się może. I u nas w obecnej chwili czuć jakieś parcie naprzód, jakiś ruch zbiorowy. Dokąd nas to doprowadzi, dziś nikt powiedzieć nie może: wszyscy my wszakże, na których ruch ten oddziaływa i którzy na odwrót na ruch ten oddziaływają, wierzymy w to święcie, że nas poprowadzi dalej.

Takie samo parcie dostrzegamy w najwięcej gnębionej Kongresówce, gdzie również młodsze pokolenie odstępuje od dotychczasowego sposobu przycupnięcia plackiem do ziemi i pewnej apatycznej nieruchomości narodowej, a pod Habsburgiem z natury okoliczności pierwsze oczywiście w tym kierunku poczyniono kroki.

Ruch ten, to parcie naprzód, udzieliło się także najmłodszemu z braci naszych Ślązkowi. Niemcy tu gwałtem oczy zamykają na sprawy jawnei wciąż plotą o jakimś tam Górnym Ślązku, podczas gdy podział ten przestarzały już dawno ustąpił i coraz więcej ustępuje miejsca podziałowi na Ślązk Polski i Niemiecki.

Co do tego nowo odkrytego Polsk. Ślązka panuje wiele pojęć tak różnych i sprzecznych, że tak samo Wielkopolsce jak i Niemcom trudno z tej gamtwaniny wybrnąć z jakimśkolwiek dla siebie zadowolnieniem. W istocie zaś podział powyższy Ślązka na polski i niemiecki jaknajzupełniej wszystko tłomaczy, byle wniknąć głębiej w naturę rzeczy.

Nie tylko cały Ślązk jako obszar ziem jest podzielony na polski i niemiecki, lecz większość Ślązaków możnaby na te dwie części rozłożyć i podzielić tak, że częstokroć i najbieglejszym trudno odgadnąć, czy to rak, czy wydra. Mamy z jednej strony jako pierwszą ostateczność najzagorzalszych kulturträgerów w guście Resnitzków, jak i nie brak z drugiej strony patryotów polskich w najpiękniejszem znaczeniu tego słowa. Pierwsi wszakże, jak zresztą i wszędzie tak i tutaj górą, bo to i honoru, i zasługi, i marek przysparza. Drudzy natomiast ukryci niby fjołek w trawie i z trudem tylko ich odszukać możesz. Szerokie nareszcie, bardzo tu szerokie pole pomiędzy jedną ostatecznością a drugą zalega masa szara nazywana pospolicie „Ślązakami," a która w istocie nie wie czem jest. Po polsku mówi pomiędzy sobą, z każdym zaś innym i publicznie po niemiecku, szczerze przywiązana do Kościoła, a już ślepo do kapłanów, a zresztą obojętna aż do szpiku kości.

Aż do czasu walki kulturnej postępowała germanizacya strasznie prędko i całe ówczesne pokolenie zdążało szybko do zupełnego zniemczenia. W nowszym czasie nastąpiło pewne przesilenie, a Niemcy biją na alarm, spychając wszystko na karb agitacyi wielkopolskiej.

Ha! Nic łatwiejszego jak zamknąć tych 2 lub 3 burzycieli wielkopolskich do kozy, — wszak o powód nie trudno wobec zagrożonego tu państwa niemieckiego. — Krzywdzonoby tem jednostkę, lecz sprawy polskiej takimi środkami nikt nie usunie, owszem ją spotęguje. Wiedzą o tem same koła miarodawcze również dobrze, że punkt ciężkości sprawy polskiej na Ślązku głębiej spoczywa niż w agitacyi i dla tego wysyłają przeciw polskości rycerzy w osobie kuryerowych krzyżaków, by jakoś klin klinem wybić. „Kuryer Górnośląski" jest ową potęgą. Wpadł on z całym rozmachem niemczyzny, tym razem katolickiej, w sile aż trzydziestu niemieckich i zniemczonych i jako komitet zorganizowanych księży katolickich na biedny lud polski, by własną jego bronią — mową polską — go pobić i przed oświadczeniem polskości, polskiej krwi i duszy powstrzymać. Naczelny wódz tej krucyaty najwłaściwiej reprezentuje swój obóz. Prawi swym parafianom polskie kazania przeciw polskości, by ich zachować tylko ślązakami, jakimi ich, podług zdania tego pana, Pan Bóg stworzył.

Polski obóz nareszcie przedstawia się stosownie do miejsca i okoliczności różnie.

Najstarszy „Katolik" jeszcze niezdecydowany jak i czem się wsławić, jednym zamachem, pyszni się chwilowo słowami jednego ze swoich abonentów wypowiedzianemi na zebraniu przedwyborczem, na którem rozchodziło się o to, czy wybrać posłem najzasłużeńszego Ślązaka majora Szmulę, czy najzasłużeńszego wroga Polaków hr. Ballestrema. Otóż górnik pewien wypowiedział tam swe sławne zdanie, że głosować będą wszyscy tak jak „Katolik" rozkaże, na tego lub owego z kandydatów. „Katolik" uhonorowany tem zaufaniem, postanowił „nie kłaść kamieni na drodze zgody" i kazał wybierać wroga polskości hr. B.

„Gazeta Opolska" rozwija niesłychanie ogledną i ostrożną akcye. Może w tem jest przesada pewna, ale bądź co bądź spełnia ona zadanie swoje uczciwie i umiejętnie.

Jeżeli to prawdą, że miarą zasług jest ofiara ze siebie dla sprawy, wtenczas pierwszeństwo w zasługach około Polaków na Szlązku przypadłoby może „Nowinom Raciborskim," których redaktor w krótkim czasie wiele popłacił kosztów i mianowany został przez władze starszym w cechu dziennikarzy polskich, bo siedział w kozie przez długie miesiące.

Praca „Nowin" przynosi większe owoce i w przyszłości obfitszy plon wyda, niż zabiegi innych czasopism. Lud w Raciborskiem stosunkowo najwięcej dojrzały politycznie, do czego blizkość dzielnych Czechów nie mało się przyczyniła i ona to po części sprawiła, że tęgość ludu jak gdyby zgęstniała i że skromną liczbę wiarusów ich jakość wynagradza. Słysząc ich słowa gorące przed rokiem, patrząc na jędrne odruchy i gesty, powiedzieć by można, że jeśli Szlązk polski na wodza się zdobędzie, to będzie on Raciborzaninem. Czekamy. Własnych kandydatów na posłów lud tu po raz drugi stawia — daremnie, lecz trzecia próba uda się, ręczę. Będzie to znakiem, że dotychczasowi Szlązacy polscy wyrośli na Polaków szlązkich, i że Szlązk nie wyprze się uczestnictwa w uroczystości kościuszkowskiej, lecz że ją sam u siebie obchodzić będzie i to nie jak tym razem, lecz jawnie i licznie.

Chim.

KRONIKA LITERACKA

J. Kleczyński. Słownik wyrazów używanych w muzyce.

Jako bardzo użyteczny podręcznik dla nauczycieli i amatorów muzyki polecam J. Kleczyńskiego „Słownik wyrazów używanych w muzyce", wydany nakładem znanej warszawskiej firmy Gebethner & Wolff.

Szkoda tylko, że autor nie zadał sobie staranniejszej pracy; dziełko jego nie jest wolnem od wielu błędów. Pomijając pewną nieraz niejasność w określaniu z obcego języka pochodzących słów i wyrażeń technicznych, dalej kilka dziwacznych i źle brzmiących wyrażeń polskich, np. zamiast instrumenta smyczkowe instrumenta rznięte, był powinien autor więcej baczności zwrócić na czysto polskie wyrażenia, które bez naruszenia zrozumiałości oddają rzecz lub czynność jasno i są nawes w używaniu. I tak zamiast „armatura" lepiej powiedzieć „oznaczenie", zamiast tłomaczyć „Eufonia" na dziwaczne „zgodno-dźwięk" wystarczy „dźwięczność"; „ćwiczenie" brzmi po polsku zgodniej jak obce „egzercycye"; za „fermata" można powiedzieć „przystanek", za „filez le son", „ton wysnuć"; za niemiecki „Vorschlag" — „przedrzutka", zamiast „Gryf" — „szyjka" u skrzypców. Dalej nie oznacza „collegno" uderzanie smyczkiem o instrument tylko o struny, „ponticello" znaczy „podstawek", a nie prożek u skrzypcy. Kto nie zrozumie polskiego słowa „struna" tego bliższe określenie w słowniku „włos kiszkowy" tylko rozśmieszy. Z niemieckiego pochodzący „strych" niech zastąpi polski „pociąg smyczka". „Sulla tastiera" nie znaczy przy „gryfie" lecz na „strunicy" (Griffbrett, „au talon", „przy żabce", a nie przy prożku, również niem. „Vorschlag" i włoskie „grupetto" nie oznacza jednego i tego samego ozdobnika.

Napróżno szukałem także w słowniku niektórych wyrażeń, zachodzących w muzyce, n. p. „Saitenhalte", co ja nazywam „spójnik" lub „spójnia".

Mimo tych i innych usterek uważam Słownik za nader użyteczny i polecam oryginalną tę pracę ubogiej naszej literaturze naukowo-muzycznej gorąco czytelnikom „Przeglądu".

Ed. Jahnke.

KRONIKA POWSZECHNA.

— W Rzymie zakończył życie słynny poeta, historyk a słynniejszy jeszcze mecenas sztuki hrabia Schack. On pierwszy poznał się na oryginalnym talencie Böckłina i Lenbacha. Pozostawił po sobie znaną na cały świat galeryę obrazów w Monachium. Ostatnie lata jego życia były istotną tragedyą, Pozbawiony bowiem wzroku nie mógł się cieszyć widokim tych arcydzieł nad których gromadzeniem przez całe życie pracował.

— „Halka" na scenie warszewskiej wkrótce doczeka się 400-go przedstawienia; „Halkę", oprócz Warszawy grano: w Petersburgu, Kijowie, Lwowie, Pradze czesktej, Poznaniu, Krakowie, Wiedniu, oraz kilku miastach pomniejszych. Po raz pierwszy grano w Warszawie w dniu 1 stycznia 1857 r., 200 przedstawienie przypadło w dniu 23 maja 1876 r., 300-tne w dniu 28 czerwca 1885 r.

BIBLIOGRAFJA.

— Struś, pułkownik. Ludzie i wypadki z 1861 do 1894. Obrazki z powstania, 2 części, Lwów. 1894. 8 mrk.

— Szczęsna (Cybulska). Poezye. Lwów. 1894. 2,80 mk.

— Tomkiewicz Stan. Filozofia w Polsce w XV i XTI w. poświęc. Aug. Cieszkowskiemu). Kraków. 1894. — 3 mk.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Bo . . . Bd . . . we Lwowie. Korespondencya ukaże się w następnym numerze. Prosimy uchylić anonim i podać adres dokładny, bo nie wiemy dokąd wysłać numer wiadomego czasopisma.

— M. J. w Bydgoszczy. Nie od razu Kraków zbudowany, Cierpliwości! Niebawem postaramy się o spełnienie życzeń.

— P. K. w Florencyi. Pan Wł. Bogusławski mieszka w Warszawie Ul. Foksal 6. Jan Kasprowicz jest stałym współpracownikiem „Kuryera Lwowskiego."

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego." Czcionkami W. Simona w Poznaniu.